Abonentów 10,000.





Oto Pan zstąpił na ziemię,
A z Nim zstąpili i Święci
I dzień ten człowiecze plemię
W wiecznej zachowa pamięci.

Bo wielkie światło się stało
W tym dniu nad lichą stajenką,
Gdzie Dziecię ten świat ujrzało,
Którego Matka Panienką.

Niech w ludzkie wnikną pojęcie,
Tej Świętej Matki słodycze;
Niech każdej myśli poczęcie
Będzie jak Ona dziewicze!

Niech grzesznym doda pociechy,
Niech ciemnym oczy otworzy,
Z pod betleemskiej Ten strzechy,
Dziś zrodzon, Baranek Boży!





W ten piękny i uroczysty, a tak drogi sercom naszym dzień, w którym:

„Anioł pasterzom mówił:
Chrystus nam się narodził“...

przyjmijcie, kochani Czytelnicy, wiązankę serdecznych życzeń od nas.

W chwili, gdy z blaskiem pierwszej gwiazdy, opłatkiem w domach Waszych łamać się będziecie, niechaj w sercach Waszych zrodzi się uczucie:

Wiary,

by Wam ona puklerzem, podporą i osłoną była.

Niechaj się zrodzi uczucie:

Nadzieji,

które strzedz Was będzie od zwątpień, goryczy i rozczarowań, jakie często w życiu spotykamy.

Niechaj wreszcie zrodzi się uczucie:

Miłości

i niechaj nieprzestanie uczyć Was kochać Boga i bliźnich, cnotę i pracę...

Bądźcie szczęśliwi, pamiętając, że szczęścia w samych sobie szukać należy, bo szczęście wynika z zadowolenia wewnętrznego, z poczucia spełnionego obowiązku.

. . . .

Przyjmijcie, życzenia te, które złączyć pragniemy z życzeniami tych bliskich i drogich Wam osób, które przy stole wigilijnym otaczać Was będą, jesteście bowiem bardzo bliskimi sercu naszemu, a zadaniem naszem i najmilszą nagrodą za podjęte trudy, byście nas za bliskich i serdecznych przyjaciół uważać chcieli

* * *

Bywaj nam, Gwiazdo! Wśród nocy grudniowej,
Jak żnicz, królewska błyszczy twa korona,
Gną się kolana, pochylają głowy:
Błogosławiona!

I płynie Gwiazda w srebrnych zórz powodzi,
Skroś chmur i cieni zmierzchowych zawiłość,
A w łonie mroku, jak brzask, tak się rodzi
Pokój i miłość.

„I płynie gwiazda w srebrnych zórz powodzi...“

Co rok płynie po nad szarą ziemią, i co rok, na skrzydłach duszy, wzlatują ku Niej ludzkie skargi i ludzkie pragnienia.

Co rok płynie i, w blasku Jej świetlanych promieni — co rok wskrzesają w sercach psalmy wiary, nadziei i miłości, niby echo starodawnej kolędy: „Bóg się rodzi“...

. . . .

Podnieś rękę, Boże Dziecię,
Błogosław krainę miłą,
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę Swą siłą,
Dom nasz i majętność całą,
I Twoje wioski z miastami! —
A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami...

* * *

Błogosław Boże! wszystkim czynom szlachetnym, wszystkim zamiarom podniosłym, wszystkim uczuciom zacnym!

Dziś, gdy, przy tradycyjnym opłatku, ogniwami życzliwości wzajemnej splatać się będą i dłonie i duchy, do wigilijnego stołu wszystkich ludzi dobrej woli ślemy „na kolendę“ serdeczne życzenia staropolskie, a więc z serca płynące i dla serc wszystkich wymowne: „Szczęść Boże!“

Po nad stołem, białym obrusem przykrytym, splatają się w bratnim uścisku dłonie, a w dłoniach tych opłatek biały, czyli chleb, plon ziemi.

* * *

Opłatek, symbol ten zgody i miłości braterskiej, doznaje u nas tak wielkiego poszanowania, że nie tylko u stołu wigilijnego dzielą się nim z sobą wszyscy obecni, rodzina i domownicy, państwo i słudzy; ale nadto jeszcze rozsyłamy go w listach, pełnych życzeń najlepszych, krewnym i przyjaciołom, przez co staje się on pośrednikiem świętej spójni duchowej, ogniwem łańcucha cudownego, który rozproszonych po świecie łączy i utrzymuje, jakby w jednem gronie rodzinnem, w imię bratniej miłości w Panu.

I słusznie:

„On bowiem smutnym rozpromienia czoło,
I sytym szczęścia radość w sercu mnoży;
Gdyż przedewszystkiem to święty chleb Boży,
A potem — drogi dar Matki - Kościoła.
Chleb, którym pierwsi w Chrystusowej wierze.
Dzieląc się z sobą. i wielcy i mali.
Pan i niewolnik, pobratani szczerze,
Świętą miłości ucztę sprawowali.
To chleb cudowny, który i w te progi,
Gdzie na powszednim nieraz zbywa chlebie,
Gody dziś wnosi, choćby oprócz siebie
Nic więcej nie dał czeladce ubogiej;
Bo choć łaknącym ciała nie pcsili,
Słodkiem wzruszeniem posili im ducha,
Gdy w nich się błoga obudzi otucha,
Że czego sobie wzajemnie życzyli,
Łamiąc opłatek, tem Dzieciątko Boże
Trudy i troski ich osłodzić może.

* * *

Nie miejcie w Waszym domu podczas Wigilii tak szczelnie zamkniętego okna, tak silnie drzwi zakutych, tak wysokiego progu, którychby nie można było odemknąć dla ptaszęcia zziębniętego, dla opuszczonej matki, któregoby nie potrafiła przestąpić noga sieroty; obdarzcie ubogiego jałmużną i spędźcie smutek z jego zgłodniałej twarzy. To konieczny warunek do spełnienia, jeśli chcemy, aby nasze życzenia doszły tam, gdzie serce dla nas bije.

* * *

W dłoniach chleb — a w sercach wszystkich miłość...

Niechaj stołem będzie w dzień Wigilii ziemia białym całunem przykryta, a biesiadnikami wszyscy ludzie „pokój miłujący, pokój czyniący“.

„Praca“ ogarnia myślą w tej chwili wszystkich swych przyjaciół i czytelników. Weźcie w dłonie Wasze opłatek, który Wam dziś załączamy i przełammy się symbolem Chleba Żywota, wpatrzeni w Betleemską Gwiazdkę Pocieszycielkę.

Idziemy ku Wam z opłatkiem w dłoni w imię Wiary i Miłości.

Konczymy, bo

Już się pieśń rozlega —
Oto Bóg się rodzi...
Jezus malusieńki
Zbawić świat przychodzi!

Gwiazdki silniej płoną
Promieńmi złotemi;
Wieść radosna płynie
Po niebie i ziemi.

Błyśnij nam gwiazdeczko,
Błyśnij nad Betleem!
My przy Twej jasności
Miłością roztlejem.

Dziś na świecie pokój,
Pokój ziemskiej doli,
Pobłogosław Boże
Ludziom dobrej woli!

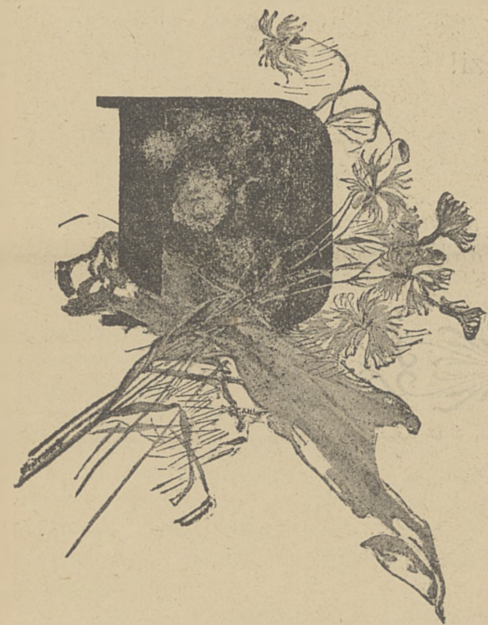
Redakcya.





Lulajże, Jezuniu! Lulajże, lulaj!

U stołu wigilijnego.



Dziś oto znowu zawitały święta... Z chwilą, gdy pierwsza gwiazdka błyska na niebie, zbiera się rodzina. Nie brak nikogo z jej członków, nawet tych, co rok cały spędzają przy pracy w oddali od domowego ogniska. Chyba tych brak, których śmierć wyrwała z objęć ich ukochanych.

I cichy, pogodny spokój rozlewa się wokoło i słodycz jakaś przenika serca... Odżywczo ona działa nawet i na te serca, w których życie wyziębiło już dawno zaczarowane kwiecie wiary, nadziei i miłości... Z pod popiołów, pod któremi napozór nic się nie kryje, z wyblakłych wspomnień młodości, z pod szeregu przytłaczających swą brutalnością wrażeń życia — gdzieś w zakątku serca budzi się gorętsza iskierka uczucia, jakiejś tęsknoty za prostotą wierzeń dziecięcych, za ciepłym uściskiem dłoni bratniej, za odrobinką prostego a wzruszającego szczęścia — za stołem wigilijnym.

I przeszły wieki i dziesiątki lat, a gwiazdka — to wielkie święto chrześciańskiej rodziny — nie zatraciła swych wzniosłych cech i swej doniosłości. Czy w chatce ubogiej, czy pod dachem bogacza — jest ona zawsze tem, czem była — chwilą odpoczynku dla ducha, oazą wśród znojnej pustyni walk życiowych.

Z nią łączą się wspomnienia lat dziecinnych, wspomnienia ojczyzny, wyryte na całe życie, wspomnienia rodzinnego ogniska. Te wspomnienia zabiera człowiek ze sobą do grobu, a choćby mu przyszło kości złożyć na obcej ziemi, to do samej śmierci w dzień wigilijny z serdecznością i tęsknotą biedz zawsze będzie myśl jego het ku swoim, do kraju...

I łza się kręci w oku na myśl o tych, co nie zasiędą z nami do stołu wigilijnego, bo ich rzuciła burza życiowa w zbyt odległe strony — ale myślą, myślą serdeczną a rzewną, dążymy do wszystkich tych, którzy tę gwiazdkę na obczyźnie spędzać będą i do tych, których ona w strapieniu zastanie! Niech minie ból jednych, niech powrót na łono ojczystej ziemi ziści marzenia drugich — a wszyscy, którym te słowa do rąk wpadną, niech zasiędą do stołu wigilijnego z tym wewnętrznym spokojem i błogiem przekonaniem spełnionych obowiązków, jakich ludziom same Nieba życzyły podniosłemi słowy:

Pokój ludziom dobrej woli!

REDAKCYA.



GWIAZDA WSCHODZI!

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)





Gwiazda wschodzi! Na lazurze
Jasność błysła, prześwietlana —
Na dziw światu. Hen tam w górze,
Chór anielski brzmi: Hosanna!

A gdzie nizki ziemski padół,
Łzami płacze człek radości,
Wszystkie smutki strącił na dół:
Bóg do niego zstąpił w gości!

Ludziom wzeszła szczęścia zorza,
Co bolało, już nie boli;
Głos się rozległ na przestworza:
Pokój ludziom dobrej woli!

W betleemskiej nędznej stajni,
Cud się spełnił po nad cudy,
Co w wyroków tkwiło tajni:
Zbawienie zeszło na ludy!

Ziemia, niebo wraz zadrżały...
Przenajświętsza Boga rodzi!
Ciesz się wielki, ciesz się mały:
Gwiazda wschodzi! Gwiazda wschodzi!

E. L.



WIGILIA.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

Wigilii dzień!
Pamiątek cień
Nad nim się słania widm rojem;
W oku mam łzę,
O wszystkiem śnię,
Co niegdyś zwałam mojem.

Ach! znikł mój świat;
Z dworów i chat,
Płynąc tu, odzew dźwięk roni —
A pól i drzew,
Kwietnych łąk wiew
Cieniem już tylko woni...

Wigilii czas!
Za stołem wraz
Siądziecie starzy i młodzi...
Rodzinny stół,
Pogoda z czół,
Z ust uśmiech wam nie schodzi...

Wigilii noc!
Cudowna moc
I dziwna dana jej cnota;
To nie wiatr gra,
To kędyś łka
Rzuconych w dal tęsknota.

Brazylianka.





Boże Narodzenie.

Według kolend, pastorałek i wierzeń ludu.

Nie wiadomo, kiedy u nas powstał zwyczaj śpiewania kolend i kolendowania po domach, można jednak powiedzieć, że ma on początek w obrzędach i zwyczajach kościelnych. Według ustaw Kościoła, biskupi swoje dyecezye, plebani swoje parafie corocznie wizytować byli powinni. Czas na początku stycznia był najdogodniejszym; wtedy zatem plebani odbywali wizytacye, a za ich przykładem poszli żaki szkolne, obnosząc gwiazdę lub szopkę, za co datek obfity otrzymywali. Zwyczaj wpłynął na rozwój twórczości: wciąż nowe układano kolendy; owa konkurencya wyrządziła krzywdę poezyi rdzennie ludowej, gdyż przekręcano melodye pierwotne, serdecznością owiane, wprowadzano do kolend żywioł światowy, kolendy traciły cechę pieśni religijnych, mających na celu uwielbienie Dzieciątka Jezus.

Jednym z najstarszych zabytków kolendowych jest pieśń następująca:

„Ej, bracia, czy śpicie, czy wszyscy baczycie? Dziwy niesłychane, trwoga, dla Boga, co się dzieje: jasność w nocy, choć nie dnieje: I my też baczymy, ale się boimy, patrząc na te dziwy; trwoga, dla Boga, co się dzieje, od strachu serce truchleje! Niebo otworzone, wojsko niezliczone anielskie widzimy. Hej, bracia, słuchajcie, nic się nie strachajcie: anieli śpiewają, nam opowiadają spokój pożądany. Hej, nie bój się Kuba, nie potka nas zguba od wilka srogiego; trzody Bogu polecajmy, a w drogę się pospieszajmy.“

Narodziny Jezusa fantazya ludu odmalowała przecudnemi barwy. z prostotą i wdziękiem naiwnym. Wstępem do tej epopei religijno-ludowej jest pieśń, która opowiada podróż Najświętszej Panny do Betleem:

„W wielki piątek rano Boża rosa była, Najświętsza Panienka po świecie chodziła, poszła do chłopków o nocleg prosiła; tam się z Niej wyśmiali, pieskami wyszczwali! pieski nie szczekały, przed Nią poklękały. Poszła do drugiego, do zagrodnika, o nocleg prosiła: „Moja miła Pani, kiedy niema kędy; małą chałupkę mam i dużo dziatek mam. Ale idźże Pani, do tej mojej szopy, tamci będziesz miała swój nocleg spokojny.“ — Wstaje chłopek w nocy, o samej północy, a nad jego szopą śliczna gwiazda świeci. „Śliczna gwiazdo, skądżeś się tu wzięła? Jeszcześ nad tą szopą razu nie świeciła? — „Jeszczem ani razu tutaj nie świeciła. Najświętsza Panienka Syna tu powiła.“ — „Żebym ja był wiedział ma Pani o Tobie, żeś Ty miała powić Syna w mojej szopie, byłbym sobie posłał z dziatkami pod progiem, a Tobiebym dał łóżko z Panem Bogiem.“

W kolendach widzimy krajobraz nie według oryginalnych widoków Palestyny, lecz czysto swojski:

„Paśli pasterze woły u zielonej dąbrowy; anioł im się pokazał, do Betleem iść kazał. Szli prędko pastuszkowie, po głębokim parowie; przyśli potem do szopy, przez niemych bydląt tropy, i znaleźli tam Pana, który stworzył Adama, nizko Mu się kłaniali i na ziemię padali. Otworzywszy kobiałki, brali z nich swe powałki; częstując niemi Pana, upadli na kolana. Oddawszy Panu dary, zagrali mu w fujary: „Bądźże pochwalon Panie, za Twoje Narodzenie.“

Dzieje Nowego Testamentu rozpoczynają się o północy:

„Północ już była, gdy się zjawiła, nad blizką doliną jasna łuna. Anioł z nieba budzi naprzód prostych ludzi: — Pastuszkowie, prędzej wstajcie, w szopie Pana powitajcie, bo się dla was trudzi. — Anioł leci, gwiazda świeci i w drodze przodkuje, miejsce pokazuje, gdzie śliczna Panienka, jako jutrzenka, powiła Syna. Dobra nowina! W szopce ubogiej, lubo mróz srogi, w żłóbko złożyła Boskiego Syna. Dobra nowina! Aniołowie się radują, Panu wdzięcznie przyśpiewują: — Chwała Mu na wysokości a pokój ludziom dobrej woli.“

Wieść z nieba sprawia wielkie, radosne wrażenie:

„Ludzie zewsząd się gromadzą i co rychlej radzą: — Skoczmyż do Betleem co prędzej pasterze! niechaj każdy, co ma dla Dzieciątka bierze, boć to Dziecię w nędzy leży, bez posłania, bez odzieży, na ciężkim mrozie. Ja Mu dam barana, jeszcze tego rana; dam Mu także gruszek i pięknych jabłuszek. Ty zaś Grzela jagniątko, przyjmie chętnie Paniątko. Kuba masła osołeczkę a Jan kukiełeczkę. Kachna koszuleczkę, Magda sukieneczkę! A ty Wojtku nabierz siana, pościelesz w żłobie dla Pana, aby niebiańską Dziecinę uśpić można choć godzinę; bo w barłogu nie rzecz Bogu leżeć przy progu. Kuba da gołąbków parę a Stacho weźmie fujarę, zagra Panu w tę miarę: — Lulu, lulu pieszczoty, Jezu Zbawicielu złoty, w tym żłobeczku, jak w łóżeczku, śpij kochaneczku.“

Zanim przybieżają pastuszkowie z kołysanką, Najświętsza Panna utula Dziecinę a pieśń Bożej Rodzicielki jest uosobieniem macierzyńskiej miłości:

„Witaj Synu najśliczniejszy, witaj Jezu najwdzięczniejszy, lili, lili, lili, lili, memu Dzieciątku małemu! Witajcie oczka słodziutkiego, usteczka Syna drogiego, lili, lili, lili, lili, memu Dzieciątku słodkiemu! Nanajże Jezu kochany! nanaj światu pożądany, lili, lili, lili, lili, memu dzieciątku ślicznemu!“

Nielada kłopot mieli Najświętsza Panna i Święty Józef, bo w stajence zimno, chłód wdziera się przez szczeliny, nie pozwala Dzieciątku usnąć. Dopieroż Boża Rodzicielka:

„Zaniosła je między woły, w jasła: z jednej strony wołek pucha, z drugiej strony siwy gołąb zieje, a z trzeciej Marya kołysze. Dziecię się kwili, Matuchna tuli, ustało przecie płakać po chwili.“

Mimo to Święty Józef wciąż się krząta:

„Wziąwszy pieluszek, zewsząd od wiatru Dziecię obtula; wiatr zewsząd wieje, nie zagrzeje, wicher do reszty strzechę obdziera. Co jeszcze dalej, szopka się wali, Józef nieborak kijem podpiera.“

Najświętsza Panna nie zapomina o obowiązkach macierzyństwa — kąpiołkę Dzieciątku przyrządza i spowija je:

„Nie miała Go w czem umywać, aliści sama wodziczka z morza przypłynęła.“

Z powinięciem także był kłopot; musiała Boża Rodzicielka spowinąć Dziecię „w swój pogłowniczek, w Świętego Józefa przypaśniczek“ a potem:

„między dwoma ołtarzykoma, tam kolebeczka zawieszona, tam kołysała Pana Jezusa Panna Marya.“

Lud w niektórych okolicach stroi Syna Bożego:

„W jedwabny pas spowijała, w jedwabną chustkę tuliła, srebra i złota przy główce nakładła.“

Utrudziła się Najświętsza Panna, tedy wspomina o posiłku:

„O nanaj, nanaj Synu mój, jużby ja śniadała. — Cóżbyś Ty, Matuchno, śniadała? — Rybki, żebym miała. Oj, rybki rybeczki, drobne szczupiałeczki. — Czekaj, Mateczko, za chwilę, za małą godzinę. Ino się spuszczę do morza, ułowię węgorza. — Jakby to, Synu, mogło być, żebyś Ty miał rybki łowić? Jeszcze nie wyszło dwóch godzin, jakeś się synu narodził; jeszcze nie wyszła godzina, jakiem Cię Synu powiła? — A Ty Matuchno, nie wierzysz, żeby ja miał być Syn Boży. Stworzyłem Żydów, Tatarów i was chrześcijanów; stworzyłem ptactwo, robactwo, ludziom na bogactwo; stworzyłem konie i woły, ludziom to do roli; stworzyłem piaski, kamienie, ludziom zabawienie; stworzyłem wszystek dobytek, ludziom na pożytek.“



Pasterze snać przeczuli, że Dziecię w niedostatku, bo śpiesząc do stajenki, tak sobie przyrzekają:

„Nie masz-ci, nie masz nad tę gwiazdeczkę, co mnie prowadzi prosto w szopeczkę; pójdę ja, pójdę, będę Mu służyć, nie dam Mu w stajni niewczasu użyć. Zamiotę stajenkę, wyręczę Panienkę, ani snu oczom moim pozwolę, Ciebie, Dzieciątko, kołysać wolę; weź mnie, mój Panie, i na krzyż z Sobą, pójdę za Tobą.“

Hołd Synowi Bożemu naprzód złożyły Moce niebieskie, za niemi Kościół:

„Same się kościoły pootwierały, bo się Pana Boga uradowały; same i dzwony pozadzwaniały; same się świece pozapalały; sama Msza Święta się odprawiała; sama monstrancya występowała.“

Zwierzęta po swojemu Pana witają:

„Ptaszki do szopy zlatują, Jezusowi wyśpiewują: Słowik zaczyna dyskantem, szczygieł mu dobiera altem, szpak tenorem krzyknie czasem, a gołąbek gruchnie basem: wróbel, ptaszek nieboraczek, uziąbłszy, śpiewa jak żaczek: „Dziw, dziw, dziw, dziw, dziw nad dziwy, narodził się B ó g p r a w d z i w y.“ A mazurek (świerszcz) z swoim synem, tak świerzgoce za kominem: „Cierp, cierp, cierp, cierp, miły Panie, póki ten mróz nie ustanie. A żórawie swoje nosy wykrzykują pod niebiosy; czajka w górę podlatuje, chwałę Bogu wyśpiewuje. Dopieroż tam wrzawa była, gdy było zwierząt tak siła! Żaden nie chciał robić, każdy wolał spełniać, na godach, na godach. Kur, jako gospodarz domu, wiedząc, co rozkazać komu, kazał mało gdakać a pożytek dawać stokrotny, stokrotny. Niedźwiedź pacierz mówił, koń zębami dzwonił nad żłobem, nad żłobem; puchacz swoim głosem puchał a gołąb Dzieciątku gruchał, wrona krak! krakała, Boga wyznawała na szopie, na szopie. Wilcy grali w szałamaje, czajka ochoty dodaje, koniki skakały, świerszcze pomagały z mrówkami, z mrówkami. Sroka piwa nawarzyła, korzec chmielu weń włożyła: było dobre piwo, pito go co żywo na godach, na godach.“

Pasterze do stajenki przybywszy, dary kornie Dzieciątku składają, a widząc, że Pan Jezus

„mruga oczkami, wskazuje na dudki paluszeczkami.“

mówią do siebie:

„Zagrać Panu chętnie trzeba, On nam da zapłatę z nieba. — Więc Bartosz porwał basy, Stacho w dudy dmucha, Wojtek stroi skrzypki i nadstawia ucha. Kuba gra na rogu, a Maciek na progu usiadł sobie z lirą i tak grają Bogu: „Lulajże Jezuniu, moja perełko, lulaj ulubione me pieścidełko; zamknijże znużone płaczem powieczki, utulże zemdlone płaczem wardzeczki. Lulajże Jezuniu, lulajże lulaj, a Ty Go Matulu w płaczu utulaj.“

Wzrusza poczciwców ubóstwo, w jakiem się Syn Boży urodził, więc żal swój wyrażają, w czem przodkują Kaszubi, z Pomorza bałtyckiego:

„Gdybyś w Kaszubach był narodzony, nie na sianeczku byłbyś złożony, dałbym Ci sienniczek i pod Cię pierzniczek, parę poduszek, piernat jak puszek. Odzież miałbyś nie ladajaką, z siwym barankiem czapkę bogatą, sukienkę z modrego sukna kaszubskiego, a pas choć z siebie dałbym dla Ciebie. Bekieszkę miałbyś futrem podszytą, pętelki u niej z tasiemką litą, czerwone buciki, pod niemi gwoździki.“

A jakie uczty czekały Dzieciątko na Kaszubach!

Na śniadanie:

„przysmażanie, z masłem bułeczkę, miodu szklaneczkę;“

na obiad:

„kaszę jeczmienną, rosołem żółtym tłusto podlaną, z soporem gęsinę, ze szperką jarzynę, z imbirem flaki, jajeczniczkę z tłustą kiełbasą, piwa Tucholskiego albo Gostyńskiego po uszy“;

na wieczerzę:

„z naleśnikami byłyby kiszki wraz z pierogami, groch ze sloniną, rzepa z baraniną, i wytuczone ptaszki pieczone.“

Miałby jeszcze Pan Jezus:

„z kim zabawienie: z prokuratorem siadłby za stołom.“

Z kolei Kurpiaki mówią, jakby to oni Dzieciątko ugaszczali:

„Mamy izb wiele i ciepłe pościele... Choć nam barci w lasach drzewa zabraniają, uzdy i siekiery w lasach zabierają, jednakbyśwa byli choć w nocy zwozili drewka dla Ciebie. Miałbyś buraczki i kapustę, Panie, z tłustą wieprzowiną, zawsze na śniadanie, mleko z jagiełkami, chlebek z oładkami a i miodu flaszeczkę. A na obiadbyśmy skrzeczków uskwarzyli i kaszy gryczanej tłusto nakrasili; zając, kuropatwy, choć połów nie łatwy, byłby dla Ciebie Panie“.

Wraz z pasterzami, składają dary rzemieślnicy:

„Ja piekarz chleba upiekę Tobie; ja kuśnierz kożuch uszyję Tobie; ja powróz ukręcę Tobie; ja cieśla krzyżyk wyrobię Tobie; ja kowal gwoździ Tobie ukuję, na ręce, nogi, Jezu, podaruję. Marya słucha, uważa sobie; mówi do Jezusa: — Zda się to Tobie, to Ci się, Synu, przyda, gdy Cię Judasz żydom wyda, na męki srogie.“

Prostaczków w stajence zachwyca wszystko, nawet uboga pościółka z siana:

„Oj, siano, siano, siano jak lilia, na którem kładzie Jezusa Marya. Oj, siano, siano, siano kwiecie drogi, gdy się na ciebie kładzie Bóg ubogi. Szczęśliwa łąko! któraś temu sianu słać się kazała na podściółkę Panu, szczęśliwa kosa, co to ścięła siano, bo Jezusowi za łoże je dano. Szczęśliwe ręce te, zaprawdę były, co dla Jezusa to siano kosiły.“

Piękna jest kolenda, przedstawiającą Pana Jezusa przy pługu:

„A na onej roli, złoty płużek stoi; a przy owym płużku, cztery konie w cużku. Na naręcznym koniu, Swięty Szczepan siedzi, a Swięty Jan im koniki wodzi. A za owym płużkiem sam Pan Jezus chodzi. Najświętsza Panienka śniadanko nosiła, szczęścia im życzyła. — A dajże tu Boże, wszelakie zboże, miedziane źdźiebła, a złote kłosy. A będą tu żencarze, sami młodzieńcarze; a będzie tu żenczarek, samych panienek, a będzie tu snopia, jako deszczu kropia; a będzie tu kopeczek, jak na niebie gwiazdeczek; a pójdą tu fury, jak na niebie chmury.“

Również podniosłem jest podziękowanie i błogosławieństwo Pana Jezusa:

„Alić Jezus powstał z żłobu i Swą rączką błogosławiąc, rzekł: — Józef stary, niech bez miary, czego braknie dostawi... — Podnieś rękę Boże Dziecię, pobłogosław strzechę miłą, w dobrych radach, w dobrym bycie, wspieraj jej siłę swą siłą, i dom i majętność całą, i wszystkie wioski z miastami. A Słowo Ciałem się stało i mieszkało między nami.“

B. L.

Pieśń kolędowa.

I.


Stara pieśni kolędowa,
Święć się, święć się wieczne
[lata!
Zawsze żywa, zawsze nowa
I w serdeczną treść bogata!

Gdy zadzwoni nuta twoja,
Taka prosta, taka szczera,
Znieczulenia pęka zbroja
I młodością serce wzbiera!

Wzbiera wiosną i młodością,
Jak po brzegi pełna czasza:
Tyś otuchą i miłością,
Cudotwórcza pieśni nasza!

Z tobą anioł w białej szacie
I przeczysta schodzi wiara!
Święć się, święć się w naszej
Kolędowa pieśni stara! [chacie,

II.

Śnieg rozsypał białe róże,
W cichem polu wiatr szeleści,
Złota gwiazda płonie w górze,
Jak wróżbitka dobrych wieści!

Lecą srebrni aniołowie,
Rozwinęli skrzydła białe,
Trzęsą, miecą róż okowie
Na Dzieciny skronie małe.

A Dziecina uśmiechnięta
Do prostaczków oczy zwraca,
Oto idą wielkie święta,
Wielka miłość, wielka praca!

I wytknięta już ta droga
Bożą wolą i natchnieniem,
Co się skończy męką Boga
I ludzkości odkupieniem!...

III.

Po zwyczaju w białym dworze
Stare rzeczy święcą one:
Już po kątach stoi zboże
W bujne snopy ułożone!

Urodziwa, jak dziewica,
Przytulona do młodziana,
Pełna złoci się pszenica
Z owsem srebrnym pomieszana.

Owdzie błyśnie mak czerwony
I bławatki, gdyby świeże;
Zwiędły kwiatek w dobie onej
Dawne barwy cudem bierze.

I rozsiewa blask radosny,
Wśród zimowych chmurnych cieni,
Jak zapowiedź nowej wiosny,
Słońca, woni i zieleni...

IV.

Z wielkiej kuchni gospodyni
Śle delicyę za delicyą,
Sutą ucztę pilnie czyni,
Uważając na tradycyą.

Teraz wisi ot na włosku
Cnej jejmości słuszna sława,
Więc jest szczupak po żydowsku:
Prym jegomość temu dawa!

Zasię potem lin w śmietanie
I karp tłusty w sosie szarym —
Jedz — nie pytaj, mości panie,
A zapijaj węgrem starym!

Jedz — nie pytaj! — a gdyć mało,
Starodawna znaj wiliję:



Masz tłuczeńców miskę całą
I zamorskie bakalije!

V.

Bratnia rzesza za stół siada,
Zgromadzona w jednem kole,
Drobne chłopię obok dziada,
Co ma w marszczkach wiek na czole.

Wszystkich łączy swem objęciem
Niepożytych uczuć siła:
Nawet niańkę z niemowlęciem
Młoda matka posadziła.

I opłatek łamią biały
Z biciem serca, z łzami w oku:
Niechże spłynie roczek cały,
Jak ta fala na potoku!

Niechże spłynie miłosiernie
I uniesie zło za morze!
Górą kwiaty, dołem ciernie:
Daj nam Boże! daj nam Boże!

VI.

Wszystko przednie bez ohyby,
A że przednie, jest przyczyna:
Własne ryby, własne grzyby,
Tylko obce jedne — wina!

Od tygodnia bez zawodu,
Przy melodyi skocznych zwrotek,
Pełne sieci szły z pod lodu
Szczuk łokciowych, małych płotek.

Boć pamięta cna szafarka
I o wilii mniej paradnej;
Na traktament nikt nie sarka,
Ni na sali, ni w czeladnej.

Jedz, nie pytaj, garścią chwytaj!
Gdyś na przysmak sztuka lasa!
Kwartą wlewaj — a używaj!
Puszczaj pasa, jak za Sasa!

VII.

Już z bocianek korek strzela
I w kielichach pełno trunku:
Czas gawędy i wesela
Bez przymusu i frasunku!

Stary dziaduś białą dłonią
Bieluteńkie musnął wąsy:
„Hej! oberka gdy zadzwonią,
Mościa panno! choćby w pląsy!“

Ale wnuczka coś nie rada,
Choć do dziadka się uśmiecha,
Chyłkiem zerka na sąsiada,
A i sąsiad jakoś wzdycha.

Spojrzał dziaduś uśmiechnięty
I pomuskał znów wąsisko:
„Szykuj, synu — Panie święty
Na zapusty weselisko!“

VIII.

Śpiew się rozległ za oknami,
Płynie ptaszkiem w dale sine:
Przyszli chłopcy z kolendami
Do dziedziców na gościnę!

Przyszli chłopcy z wioski całej,
Wyciągają cienkie głosy —
I orzeźwiał dworek biały,
Jak o świcie kwiat od rosy.

Złotoszczera nić się winie,
Przędza uczuć lśni i świeci,
O Jezusie, o Dziecinie
Brzmi kolęda wiejskich dzieci.

Brzmi tonami fałszywemi;
Ale innej nie potrzeba, —
Ona leci hen po ziemi
I dolata aż do nieba!

IX.

Już cug siwków zaprzągnięty,
Kopną drogą pędzą sanie,
A śnieg płonie jak diamenty,
Jak ócz cudnych migotanie.

Sadzi kłusem czwórka dziarska,
Dziad z uznaniem kiwa głową, —
Prawy w dyszlu na wiatr parska:
„Zdrowo, siwku! zdrowo! zdrowo.“

Złoty blask się w oknach pali,
Niby łuną lśni czerwoną, —
I kościołek widać w dali
I dzwonniczkę przygarbioną.

Siwy pleban mszę odprawia
I rzewnością wzbiera serce;
Zda się Chrystus sam się zjawia
Na wioskowej tej pasterce...

X.

Choćbym odszedł poza rzeki,
Poza góry hen ogromne,
Choćbym błądził całe wieki —
Naszej „Gwiazdki“ nie zapomnę.

Nie zapomnę chwili owej,
Co najdalsze serca brata,
Ani pieśni kolędowej, —
Choćbym odszedł na kraj świata!

Stara Pieśni kolędowa,
Święć się, święć się nutą starą,
Zawsze żywa, zawsze nowa
I tętniąca szczerą wiarą!

Z tobą anioł w białej szacie
I przeczysta schodzi wiara,
Święć się, święć się w naszej chacie,
Kolędowa pieśni stara!

K. W.





Pierwsza Gwiazdka.

Szarzeje niebo grudniowe, pod nogami gruda i opony śniegów. Wiatr w oczy bije i zawierucha lód na głowę ciska. Z zacisznego dworku wychodzi siwowłosy, lecz krzepki gospodarz. Staje na ganku i czeka w poważnej zadumie. Wzrok wytężony ku niebu dostrzega nareszcie upragnioną i oczekiwaną.

Z chmur topieli wysuwa się jasna, czysta, promienna Gwiazda.

Więc zabłysnęła znowu!

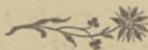
Jak przed rokiem, przed dwoma, jak przed dziesięciu, stu i tysiącem lat, ukazuje się ta sama.

A nie jest to zwodniczy blask błędnego ognika. To światło powstało z wielkich poświęceń Zbawiciela, z prawd niewzruszonych Jego nauki.

Wzeszłaś więc znowu nad nami Gwiazdko miłosierdzia!...

Wpatrzeni w Twój odblask, stajemy w tej uroczystej chwili złączeni dłoń w dłoni, nierozdzielni w pochodzie do celu, który nam, jak niedyś Trzem Królom, wskazujesz...

Ave Stella!... *W.*



Wspomnienie emigranta.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)



Było to w Wigilię Bożego Narodzenia. Z małego domku przy ul. St. Georg Street w Londynie wyszła gromadka ludzi, żywo rozprawiając ze sobą. Z rozmowy poznałbyś w nich Polaków. Na przodzie kroczący siwy starzec, giestykulując rękami opowiadał głośno, wkoło otaczającym go towarzyszom dzieje swego, pełnego cierpień życia.

Pierwsze powstanie polskie zastało go młodzieńcem. Na rozkaz Ojczyzny podążył na pole walki — ranny dostał się w niewolę — a ztamtąd na Sybir. Ot, zwykły los tysięcy, owych bezimiennych bohaterów Polski, krwawiącej się bólem synów swoich — którym droższą była wolność od życia i karyery.

Słuchano go uważnie. Każde słowo jego, to nowe przypomnienie dla emigranta, że na tułaczce, zdala od grobów i mogił, drogich sercu istot żyć musi — to nowy ciężar, który spadał na duszę, przygniatając ją, tą straszną tęsknotą za krajem ojczystym, którą zrozumie tylko ten — który choć tylko raz w życiu za progi ojczyste wygnany został.

. . . .

. . . .

Gromadka zbliżała się szybkim krokiem do kościołka katolickiego, na tradycyjną „Pasterkę“. — Szli wszyscy posępni, jakby owiani czarnemi mgłami, unoszącemi się z brudnych wód Tamizy nad Londynem — tym ogromnym mrowiskiem cierpień, bogactwa i nędzy ludzkiej.

W kościołku na „Witechaplu“ zebrali się nieliczni katolicy tej dzielnicy a wraz z nimi i grupka naszych emigrantów.

Po odprawieniu mszy wstąpił na stopnie ołtarza — w myśl zwyczaju angielskiego, gdzie kazalnic niema — młody ksiądz *Wyat*, Anglik, wielki przyjaciel Polaków i rozpoczął kazanie.

Rozglądając się po obecnych, oko jego spoczęło na grupce Polaków, znanych mu dobrze — ponieważ widywał ich regularnie w swojej parafii maleńkiej.

Smutne twarze emigrantów, cierpienie, bijące niemal z każdego ich rysu i ta melancholia, bez której Anglik żyć nie może, a która z wrogów robi mu przyjaciół, przypomniała mu historyę Polski. W duszy jego odezwał się głos kapłana, chcącego koić rany cierpiących.

Zwrócony w stronę emigrantów donośnym głosem począł mówić:

— „Ilekroć myśl moja ucieka w dalekie strony Jeruzalem i rozpościera przedemną dramat Golgoty — tylekroć przypominam sobie historyę nieszczęśliwej Polski. Trzech królów składało hołd dziecięciu Betleemskiemu, które później dla szczęścia ludzkości rozpostarto na krzyżu. Trzech mocarzy rozdarło Polskę, lecz dla szczęścia ludzkości wstanie ona znowu, a jej zmartwychwstanie będzie zwycięztwem Chrystusa sprawiedliwości!“

I mówił dalej w ten sposób gorąco i z uczuciem, płakał słowami, szarpał duszę, to znowu napełniał ją błogą wiarą w zwycięstwo pokrzywdzonych.

Twarze emigrantów to bladły, to czerwieniały na przemian, piersi uderzały gorącem tętnem, a po twarzy poranej bruzdami ściekały łzy. Z ócz ich można było wyczytać wdzięczność dla kaznodziei, miłość dla tych, co kochać i współczuć potrafią.

Kiedy ks. *Wyat* zakończył kazanie, z piersi emigrantów popłynęła pod sklepienia świątyni rzewna a gorąca i pełna siły pieśń: „Bóg się rodzi, moc truchleje!“

. . . .

. . . .

Anglicy wokoło otoczyli emigrantów i płakali... Była to najpiękniejsza chwila w mojem życiu.

Witold R.



Najświętsza.



Złożyła Dziecię w kolebce,
Aniołów nadpłynął rój,
Nad dzieckiem pacierz swój
Najświętsza szepce —
Miłością wielką przejęta,
Na syna patrzy przez łzy...
I roji złote sny
Z najświętszych — Święta!

Jest słowo w księgach Proroków —
Niem dzwoni Dawida psalm...
Że wśród Judei palm,
Oliw jej i potoków —
Gdzie twarda Rzymian prawica
Nieszczęsny ugniata lud —
Spełni się wielki cud,
Lat tajemnica!

Wyśniony snami wszystkiemi,
Zwycięzki zjawi się mąż —
Łeb hardy ugnie wąż
Do prochu ziemi —
A ten... Przeczysty! — w odzieży
Królewskich stanie tu szat...
Potęgą zdziwi świat,
Świat w sen uwierzy!

W sen piękny, w sen tak przedziwny...
Nie wstrzymać rozkosznych drżeń!
Pierś — ma swobodę tchnień,
Dech większy, gaj oliwny...
A On iść będzie wielbiony
Wśród kwiatów rzucanych szarf,
Przy dźwięku złotych arf,
Wyższy nad trony.

Tak goniąc białych snów roje,
Ta matka wzdycha i drży:
— „To ty, mój synu — ty!
To dzieło — twoje!
Otoczon hołdem, czcią ziemi,
Miłości i Prawdy stróż,
Przez życie przejdziesz róż
Stopy białemi“.

Śpi cicho Dziecię w kolebce,
Dokoła bije róż woń —
Ona pochyla skroń,
Wpółsenna jeszcze szepce:
— „Czekajcie... proroctwu... wierni —
O, Panie! róż chwilę zbliż!...“
...Wyśnił się czarny krzyż,
Korona — z cierni!

Kazimierz Gliński.



Wigilia.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

— Jest tu kto z Kaliszkowic?

— Jest! — ozwał się parobczak w wytartym kożuszku, zsiniały od mrozu, uśmiechający się przyjaźnie, wskazując na siebie. — Ale i konie są — mówił naiwnie do pytającej się panienki. — A druga panienka jest też? — zapytał się jeszcze raz.

— Jest, jest i druga — była odpowiedź.

Parobek zajechał saniami przed ganek stacyi kolejowej, ułożył pakunek, otulił starannie w kożuch nogi panienek, sam wgramolił się na kozieł, uderzył kilka razy w zgrabiałe dłonie, zagarnął lejce, cmoknął na konie i ruszył z kopyta. Wylecieli w pole równe, pokryte marną sośniną, brzózkami i jałowcem. Mróz był siarczysty, z wiatrem przejmującym do kości. Nosy panienek, które ledwo co były widoczne z pod chustek, poczerwieniały. Tuliły się jedna do drugiej, odwracając się jak mogły od przykrego wiatru. Słońce przed niemi krwawo zachodziło, tonąc powoli w mglistym tumanie śniegu.

— Czy dojedziemy przed nocą? — ozwała się jedna, patrząc na chłopaka na przodzie stojącego.

— A ino dojedziem, pun kozoł susem gnać, zeby na wiecezy być...

Ale mamy trzy mile — odezwała się druga.

— A tak tsy, mówią ludzie; bo do miastecka jest dziesięć wiorstów, a z miastecka godzina jazdy, a jak panienki zmarzną mogą się w karcmie u Mośka zagodzć.

— A tobie nie zimno?

— O nie — odparł z uśmiechem.

— Ty w Kaliszkowicach służysz?

— A jakze za fornola juz pięć miesięcy.

— A jak się nazywasz?

— Jon po chrzcie a Kuc po ojcach.

Konie biegły raźno. Szron obielił je po same uszy. Parobczak gwizdał na nie, chwalił lub ganił.

— I tobie spieszno na wieczerzę — zauważyła starsza panienka.

— Ta pewno, ze spiesno — odparł. — Cały post odjem od razu. Juz jo wywąchał w celadniej kuchni, co tam będą za smacności.

— Cóż będzie — zapytały panienki razem, zarażone jego wesołością.

— A to będzie juska z gzybami, kluski z makiem i słodkie gruski gotowane. A kazdy dostanie jesce całego śledzia i półkwaterek wódki. Pani kazała stół obrusem zasłać a siana tom cały snop przyniósł, zeby potym kazdy kuń dostał po kłapciu. Słysys gniado i ty gryźć będzies święte siano, za to rwij z kopyta.

Gniada parsknęła, aż ją jakby dymem owiało, a chłopak prawił dalej:

— Potym z kolendą do dworu przyjdziemy, a potym na wieś skoczym pohulać, a potym na pasterkę.

Panienki umilkły. Nosy nawet pochowały, zgarbiły się i znieruchomiały. Zimno przejmowało do kości; wicher pomimo futerek smalił jak ogniem. Nie widziały już ani drogi ani okolicy; przymknęły zmęczone oczy, trzęsły się chwilami, zdały swe losy na Jana i Opatrzność. Zdawało im się, że strasznie długo jadą, ale bały się wyjrzeć na świat i zgoła nie wiedziały gdzie są i co się dzieje. Raptem sanki stanęły.

— Co tam? — spytały wyzierające.

Przestraszyły się. Wicher już nie górą szedł, ale nizko, jak ostrze kosiarza i rwał mroźny śnieg i niósł go i kręcił i słał... Zrobiło się tak ciemno, że tylko postać stojącego Jana widniała jak bałwan śniegowy. Gdzieś z boku mgliste świeciło światełko.

— Moze panienki wstąpią do Mośka i pogrzeją się trochę? — pytał troskliwie Jan.

— To nie Kaliszkowice?

— Gdzie tam, gdzie tam, jeszce godzina drogi.

— Jezus Marya! A jakże jechać, kiedy tu nic nie widać? Zostańmy tutaj do rana. Zginiemy w drodze, albo zbłądzimy, a może nas jeszcze wilki opadną.

— Uchowaj Boze! Toć ja droge znam jak ściezkę do swojej chaty — wołał parobczak. — Ja panienki jak w biały dzień powiozę. Dalibóg trafię! Okrusynę się prosę zagzać i dalej. Niedaleko do domu, a tam cekają z wiecezą.

— Kiedy my się boimy. Taka straszna noc!

Ale chłopcu zapachniały widocznie te specyały, których tak bardzo mu się chciało zakosztować, bo się im aż do nóg pochylił i tak je uspakajał:

— Jak mi Bóg miły, nie strasno. Toć do Kaliszkowic całkiem blizko, Siocniaczek, grobelka i ot zaraz pańskie łąki i olszynka. Zebym ślepy był, to bym nie zmylił... Toć ja tą drogą i po pocztę i po mieso i do hapteki i po doktora do miastecka jezdzę mało nie codzień. Niech ta panientka się nie boją. A to dziś taka bozka wiecezo, a my mamy jak zydy w karcmie siedzieć. Gzech by był i obraza Bozka, a wstyd przed ludźmi!

— Janie, tobie bardziej kluski w głowie, niż twoje własne i nasze życie — zawołała jedna panienka.

— A jak nas wilki opadną? — wtrąciła druga.

— Co ma być, wilki tylko cyganów i zydów napastują, a nie targnyłyby się na chrześcian — odparł chłopak.

— No, to już jedźmy — postanowiła starsza.

Ogrzali się trochę w karczmie i ruszyli, jak się zdawało, bez drogi śladu... Zadymka tymczasem szalała coraz rozpalczywiej... Minęli miasteczko i zapowiedziany Siocniaczek. Widząc pewność woźnicy, panienki się uspokoiły. Wyjechali na długą wązką groblę, usypaną wśród zarośli olszyny i niebotycznych badyli. Wicher wściekły uderzał o nie, zarzucał śniegiem, gwizdał w obnażonych łodygach. W haszczu tym dzikim zdawało się jednej z panienek, że coś się świeci jak robaczki świętojańskie w ciche letnie noce... Mignęło tu i tam i... zgasło!

Wtem nagle konie rzuciły się w bok... Obejrzeli się wszyscy. Z gęstwiny wysunęła się szara plama i stanęła opodal grobli na lodzie...

— Wilk — krzyknęły panny dzikim głosem... Jan milczał, trzymając mocno chrapiące konie... Z gąszczów wychyliła się druga szara plama, dalej trzecia i czwarta... wilki skupiły się i skomlały jak psy i truchtem poczęły biedz śladem sanek.

— W imie Ojca i Syna wyszeptał ze strachem Jan.

— Uciekajmy — krzyczały panny prostując się pomimo mrozu, a zrzucając z głowy okrycia, oglądały się za siebie.

Wilki się rozdzieliły... Dwa szły jedną stroną drogi... reszta zaś szła na drugiej stronie drogi i zrównywały się już prawie z sankami.

Konie pędziły, jak wiatr; wilki dotrzymywały kroku, co czas jakiś, nawołując się przeciągłem, złowieszczem skomleniem. Jan wiedział, że wilcze nogi

wiatr dogonią, a do Kaliszkowic jeszcze mila... Konie prawie niosły, ale bestye nie zostawały w tyle owszem dobiegały sanek...

— Panienko! — z cicha zwrócił się Jan do starszej.

— Co? spytała prawie nieprzytomnie.

— Weźcie lejce!

— Co takiego?

— Weźcie lejce. Konie drogę znają, pod ganek was prosto zawiozą. Nie potrzeba kierować.

— A ty trzymać nie możesz?...

— Ja pójdę na wilki. Zostanę, to i one się od was odczepią... Dalibóg.

— Co ty gadasz? Co ty robisz człowieku?

Porwała go za kożuch, bo już jedną nogą był na ziemi, zsuwając się z sanek...

— Tak po sprawiedliwości — odparł — ja namówiłem was na tę drogę, biedę sprowadziłem, toć sam naprawić muszę! więc weźcie lejce!...

Oprzytomniały obie i niedbając już o wilki, porwały chłopaka i trzymały go z całych sił...

— Zwaryowałeś? Nie ruszaj się!... O Boże!... Dzwonić potrzeba?

— Nie ma dzwonka odparł. szamocąc się...

— Światło zapalić!

— Siarczyków nie wziąłem... ja winieniem... ja winien. Dalibóg pójdę!

— Nie pójdziesz! Krzycz, hukaj, może się zlękną...

To mu się spodobało.

— Ahu... ahu... ahu... ahuu... wrzasnął z całego gardła...

— Ahu... ahu... zawtórowały drżące słabe głosiki panienek.

Wilki dobiegały...

Konie stanęły raptem i odskoczyły w bok... Wówczas wilki poczęły wyć, a biedni podróżni poczęli wrzeszczeć z całych sił, ze zgrozy, ze strachu. Potem ochrypli, wyczerpani, zawodzili fałszywie, strasznie... Konie rozhukane znów poczęły biedz, stuliwszy uszy chrapiąc i wierzgając. Wilki szły za niemi ale wolniej, dalej już po łąkach błyszczały zielonawe ich ślepie...

— Boże ratuj nas, jęczały panienki.

— Śpiewać panienki, śpiewać — krzyknął Jan zdyszany i rozgorączkowany.

I chrapiąc, zacinając się, jął ryczeć prędzej niż śpiewać, wyuczoną niegdyś od organisty kantyczkę...

— A wczora z wieczora. Z niebieskiego dwora.

Wpadli z grobli na pola, na łąki, pomiędzy olszynkę. Szalony pęd rzucał sankami. Śnieg z pod kopyt bił jak śrutem... Chłopak nad końmi pochylony, nieprzytomny, bez czapki, śpiewał resztkami głosu; panny, leżąc na spodzie sanek i trzymając się ich jak kleszczami, pomagały mu jak mogły... Aż wreszcie Jan zachrapał tylko i czując się już oniemiałym, obejrzał się rozpaczliwie w stronę pościgu. Ale za sankami były już tylko białe gęste tumany, bezbrzezna pustka i noc... Ni zielonych iskier, ni czarnych plam... nic...

I nagle zmieniona twarz Jana zadrgała, skurczyła się i zza siniałych warg zabieliły zęby...

— A... co? — wyszeptał bez dźwięku Jan... — mówiłem, że wilki tylko cyganów i żydów napadają, a jak tylko usłyszały, że my chrześcijanie, wzięły się i poszły!...

Po chwili dodał:

— A ot i w doma jesteśmy. Wio, gniada! dostaniesz świętego siana!... Uh!



Powrót wygnańca.

jak tu zaraz na dziedzincu olej p[illegible] i pierogi...

Przez całą wieczerzę i pół wieczora opowiadały panienki wujostwu swoją straszną przygodę...

Gdy przed sienią ozwał się dzwonek i skrzypki kolędników wszyscy wyszli, by ich słuchać i widzieć dzielnego Janka. Stał na samym czele. Nie miał nawet czasu się przebrać. Miał na sobie ten sam potargany kożuszek, a na nogach postoły słomą wypchane. Na twarzy był ten sam dziecinny, dobroduszny uśmiech... Znać tylko po nim było, że misa klusek, druga zupy grzybowej, trzecia gruszek, pęczaku, cały śledź, pierogi i półkwaterek odreperowały go po poście i po strachu... Oczy małe świeciły mu się. Twarz czerwona nabrzmiała od mrozu.

Pokłonił się. Obejrzał się po towarzyszach i zaśpiewał:

A wczora z wieczora
Z niebieskiego dwora
Przyszła nam nowina...

Odśpiewawszy, kolejno wszyscy przystępowali do poczęstunku.

— Janku, — zawołała młodsza panienka wesoło. — Inaczej śpiewaliśmy na saniach?...

— Inaczej paniunciu? — zapytał. — A no gorzej szło... Kto by tam wilkom szelmom lepiej się starał! — odparł zuchwale.

Ale co do tej kolędy to jej już nigdy nie zapomnisz?

— I wilki się jej nauczyły, paniunciu!

Półkwaterek do rąk wziął, pokłonił się wszystkim i mówił:

— Daj Boże doczekać w szczęściu, zdrowiu Nowego Roku, a po Nowym Roku Trzech Króli, a po Trzech Królach daj Boże nam wszystkim za rok Kolędy doczekać!

Wypił, kieliszek odstawił i na towarzyszów skinął.

Po chwili w mróz i w śniegu ku wsi biegła kolęda...

...Rodzi jedynego
Boga prawdziwego
Za wyrokiem Boskim
W Betleem żydowskiem...

Wład. Siemiątkowski.



(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)



Oto z łaski Bożej,
Minął roczek cały —
I na stole naszym,
Znów opłatek biały!

Już się zbliża, zbliża,
Dzień Wielkiego Święta...
Któż ze swych najrańszych
Lat go nie pamięta?
Wszystko, co się kiedy
Czuło, przemarzyło,
Dziś do życia wraca,
Z tajemniczą siłą.

W duszy rozmodlonej
Płacze coś i śpiewa,
A jak promień słońca,
Świeci i rozgrzewa...

Bo w jasności wielkiej,
Idzie Pan nad pany...
Idzie Miłosierny
Leczyć nasze rany.

Po nad głową Jego,
Złota gwiazdka pała...
O, Boska Dziecino!
Chwała Tobie, Chwała!

Bronisława Kor...



Moc truchleje...

Opowiadanie przy choince.
(Nadesłane na konkurs „Pracy.)



Mieliśmy idealną matkę... Dziś, wśród różnych niepowodzeń, walk życiowych, w chwilach ogarniającej rozpaczy lub zwątpienia, — a któż takich chwil nie przechodzi? — wspomnienie matki jest dla mnie kojącym balsamem, pociechą, jasnym, świetlanym promieniem, przed którym ustępują straszne mroki.

Kochała nas ta matka wszystkich synów jednako, chociaż nie wszyscy, och nie wszyscy, odpłacali się równą miłością.

Jeden z nich nawet, boleśnie o tem przypominać, zaparł się raz swej rodzicielki, gdy ta stanęła przed swem dzieckiem zbiedzona, sponiewierana i wzywająca pomocy...

Odpowiedział jej wyrodny syn:

— Opuść te progi natychmiast, bo zgubisz całą moją karyerę. — Drżę na samą myśl, co się może stać, gdyby się dowiedziano, że mam matkę taką nędzarkę...

I odeszła nieszczęśliwa, ze zranionem sercem, ale nie przeklęła wyrodka...

Modliła się tylko o jego upamiętanie...

Wszakże miała i dobre dzieci. Te ją przygarnęły i przytuliły do siebie, schorzałą pielęgnowały do ostatniego momentu...

I teraz duch tej świętej matki wśród nas przebywa...

Dzisiejszy uroczysty dzień Wcielenia Słowa, które było Bogiem, pierwsza wielka tajemnica, po której nastąpiły: Odkupienie i Zmartwychwstanie, przywodzi mi na pamięć szczęśliwe dzieciństwo, gdy nad małym człowieczkiem czuwał Anioł Stróż, uosobiony w najlepszej i najczulszej matce...

Pamiętam, jakby to było wczoraj, chociaż minęło już lat kilka dziesiątków...

Mieszkaliśmy w osadzie fabrycznej, a ojciec nasz zajmował stanowisko jeneralnego plenipotenta u wielkiego bogacza, von Reintera.

Pryncypał naszego rodzica był to typ wzbogaconego *kulturträgera*, jacy już w owe czasy swobodnego niczem nie wstrzymywanego, *Drung nach Osten*, wtłaczali się do nas i robili kolosalne fortuny.

Teutonowie niegdyś mieczem i pożogą zdobywali mienia słowiańskie, potomkowie zaś ich chytrością, podstępem, niesłychanym cynizmem, wyzyskiwali nasze stare wady: niezaradność, dobroduszność i... lenistwo.

Taki von Reinter, natrafiwszy na grunt, dla siebie szczególniej przyjazny, szybko, olbrzymiemi krokami, doszedł do milionów.

Był on posiadaczem licznych folwarków, znacznych obszarów leśnych i kilku fabryk.

Butny krzyżak trzymał ster wszystkich interesów i lubił się przechwalać, że chociaż nie jest monarchą ani książęciem udzielnym, rozciąga władzę nad kilku tysiącami oficyalistów i robotników, których byt od niego zależy.

Ojciec mój zawdzięczał stanowisko plenipotenta jakiemuś dalekiemu pokrewieństwu z żoną milionera, co jednak nie przeszkadzało von Reinterowi traktować go z góry, wymagać czołobitności i bezwzględnego posłuszeństwa.

Ileż razy doskonale pamiętam, matka namawiała ojca, aby podziękował za miejsce, które znękanemu człowiekowi zdrowie zrujnowało.

— Mój Jędrusiu — mówiła — przecież znajdziesz gdzieindziej posadę, chociaż z mniejszą pensyą, ale będziesz miał spokój. Podziękuj temu tyranowi, bo jeszcze życiem przypłacisz i dzieci osierocisz.

— Nie mogę... nie mogę... Reinter jest mściwy i przy swoich stosunkach może przeszkodzić mi w znalezieniu innego miejsca... Boję się nędzy... muszę cierpieć — odpowiadał ojciec, zacny, poczciwy człowiek, ale, jak dziś oceniam charakter rodzica, niezaradny i bez energii...

Von Reinter był w całem znaczeniu despotą i to despotą fanatycznym, bez żadnego poczucia sprawiedliwości.

Miał on w sobie neronowskie instynkty. Cierpienia innych sprawiały mu zawsze nieopisaną rozkosz. Oprócz szalonej pychy, żywił uczucie pogardy względem tych, którzy mu pozwolili dorobić się kolosalnej fortuny, i zwykł był o wszystkich swoich podwładnych w ten sposób się wyrażać:

— Ja jestem panem, a to wszystko moi niewolnicy, bydło... *polnisches Vieh*..

W czasach tych, uważam za potrzebne nadmienić, nie istniały, znane dzisiaj, urządzenia opieki nad pracującymi, zabezpieczające ich przed samowolą pryncypałów.

Taki więc von Reinter mógł się dowoli znęcać nad całą rzeszą ludzi, od niego zależnych.

Raz np. potrafił wydać rozkaz, aby przy zwiększonych obstalunkach, dzień roboczy, zamiast o 7-mej, kończył się o 10-tej wieczorem i za te trzy godziny dodatkowe nie przeznaczał żadnego wynagrodzenia.

Kiedy ojciec uczynił skromną uwagę, że robotnicy szemrzą i gotowi są opuścić fabrykę, von Reinter wpadł wściekły do warsztatu i zawołał:

— Który nie chce pracować, niech do mnie przyjdzie.

Gdyby wszyscy ustąpili, butny wyzyskiwacz byłby w niemałym ambarasie. Znał on przecie dobrze swoich niewolników, swoje „zestrachane bydło".

Z tysiąca znalazło się tylko 40 śmielszych.

Ci zostali wypędzeni, a gdy po upływie dłuższego czasu, wynędzniali, przyszli z pokorną prośbą o przyjęcie z powrotem, Reinter zgodził się, lecz jako karę wyznaczył na czas nieograniczony tylko połowę dawnej zapłaty.

Najmniejsze wykroczenie pociągało za sobą grzywny. Pieniądze zebrane w ten sposób, szły częścią na utrzymanie szkoły niemieckiej, częścią na budowę kościoła protestanckiego.

A fundusz z grzywien znakomicie urastał. Skazywano na grzywny za niezbyt uniżony ukłon przy spotkaniu pryncypała, za głośniejszą rozmowę, za śpiewkę nuconą w obrębie fabrycznym, słowem za wszystko, według widzimisię tyrana, mogła być kara pieniężna.

Edukacya w owej szkółce niemieckiej była dla dzieci wszystkich oficyalistów przymusową.

I my, zanim nas oddano do gimnazyum, musieliśmy uczęszczać do szkółki, bo tak chciał wszechwładny von Reinter.

Jednoroczny pobyt w szkółce stanowi dla mnie najprzykrzejsze wspomnienie dzieciństwa. Dopiero, gdy nadchodziły święta i lekcye na parę tygodni zawieszano, toż to była uciecha!...

Właśnie doczekaliśmy upragnionych świąt Bożego Narodzenia.

Nas, dzieci, szczególniej cieszyła myśl o gwiazdce, o gaiku czyli choince, Bożem drzewku, które i w pałacu von Reintera, pod nazwą *Christbaum*, również zajmowało poczesne miejsce.

Tymczasem uroczystość Wigilii, owa tradycyjna uczta rodzinna przy łamaniu się opłatkiem, smutnie nam przejść miała.

Pryncypał rozkazał swojemu plenipotentowi, rano w dzień wigilijny natychmiast jechać do miasta powiatowego dla załatwienia kilku interesów, które wcale nie były pilne.

Miasto było odległe o 10 mil, więc powrót tego samego dnia nie mógł już żadną miarą nastąpić.

Ojciec chociaż przywykły do wypełniania najfantastyczniejszych rozkazów, tym razem ośmielił się napomknąć, że interesy dałoby się załatwić po świętach.

Pan Wrzesiński słuchać, a nie rezonować... jak mu się nie podoba, może sobie *immer* święta zrobić i z całą familią *gleich abfahren* — zawołał despotyczny von Reinter.

Ojczysko, zacisnąwszy usta, kazał zaprzęgać.

Pamiętam doskonale, jak płakaliśmy wszyscy, gdy ojciec wsiadał do sanek.

Uczta wigilijna bez gospodarza, głowy domu, troska o podróżnego w czasie śnieżnej zamieci, wszystko to smutnie nastrajało. Dopiero gdy matuchna zapaliła świeczki na choince, smutek nasz począł pierzchać.

— Matusia zaśpiewa nam kolendę — prosili starsi bracia.

Zapłakana kobieta długo się wzbraniała, bo gdzie jej, myślącej o nieobecnym mężu, było wówczas do śpiewu?

Ależ czyż mogła odmówić swoim pociechom, tak natarczywie błagającym?

Namyśliwszy się, wybrała wzniosłą i poważną kolendę.

Jeszcze w tej chwili pamiętam czysty, dźwięczny, chociaż wówczas cokolwiek drżący, głos ukochanej mateczki, która śpiewała.

Bóg się rodzi, moc truchleje,
Pan niebiosów obnażony,
Ogień krzepnie, blask ciemnieje
Ma granice nieskończony,
Wzgardzony, okryty chwałą,
Śmiertelny król nad wiekami,
A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Cała dzieciarnia, nie tyle harmonijnie, ile jak najgłośniej chórem śpiewała:

A Słowo ciałem się stało
I mieszkało między nami.

Matuchna zaczęła drugą strofkę od słów:

Cóż masz niebo nad ziemiany...

Nagle, ktoś hałaśliwie i z impetem otworzył drzwi do sieni.

Jak spłoszone kurczątka tulą się pod skrzydła kokoszy, tak i my, na widok pryncypała, otoczyliśmy matuchnę bladą ze wzruszenia, lecz śmiało oczekującą pierwszych słów.

— *Was ist das?* — co to za ryki u pani Wrzesińskiej?... Czy pani Wrzesińska wie, że to *straf?* — krzyknął nareszcie butny krzyżak.

Mieszkaliśmy w oficynie, wprawdzie nie zbyt od pałacu odległej, lecz nie sposób, aby w zimie, przy podwójnych oknach, śpiew mógł być słyszany w pokojach von Reintera.

Widocznie spacerował po dziedzińcu i przechodząc koło oficyny, podsłuchał.

— Sądziłam, panie pryncypale — odpowiedziała matka — że mój i tych dzieci śpiew nie może dochodzić uszu pańskich. Zresztą, wszak to dziś Wigilia, uroczyste w całem chrześciańskiem święto, i mniemałam...

— *Genug* pani Wrzesińska... Żadne tłómaczenia! *fünf Thaler straf* będzie zapisany... *polnisches Lied* u mnie *verboten*, rozumieć pani Wrzesińska? — przerwał von Reinter, który chociaż mówił doskonale po polsku, zawsze mieszał wyrazy niemieckie.

Po tych słowach cofnął się, lecz, jakby sobie coś jeszcze przypomniał, zawrócił i powiedział:

— A te... *verpfluchten Spitzbuben*, jeżeli nie przestaną *schreien*, dostaną chłostę... *verstehen sie*, pani Wrzesińska?...

Biedne matczysko po wyjściu okrutnika wybuchło płaczem.

Nie dosyć, że jej męża w tak uroczystym dniu wyprawił z domu, ale jeszcze i kolendy dzieciom śpiewać nie pozwala!

Płaczowi matki i nasza gromadka zaczęła wtórować.

Dopiero najstarszy brat, gimnazyasta, energicznie zawołał:

— Cicho bądźcie, bo ten... gotów podsłuchać i znów za płacz nałoży nowy *straf!...* Mateczko, uspokój się, ja niezadługo dorosnę, będę pracować i was ztąd uwolnię...

Resztę wieczoru przepędziliśmy smutno, a ja rozmyślałem nad słowami zaczętej przez mateczkę kolendy.



Nie wszystko ja dobrze rozumiałem, ale że przyzwyczaiła nas matka do zadawania pytań w każdej materyi, więc się zapytałem:

— Co to znaczy moc truchleje!...

— Truchleć, moje dziecko, znaczy to samo co bać się, przestraszyć — tłomaczyła mateczka.

— Tak naprzykład, jak ty struchlałeś, gdy wszedł von Reinter — zawołał Kazio.

— Ale w kolendzie śpiewają, że moc truchleje, a ja nie jestem wcale mocny? — nadmieniłem pytająco.

— Widzisz synku, to dla tego powiedziano o mocy truchlejącej, aby oznaczyć potęgę Boga...

— Kiedy spełniła się ta wielka tajemnica naszej wiary, że sam Bóg zstąpił na ziemię w postaci ludzkiej, czyli Słowo, inaczej obietnica, zapowiedziana w Starym Testamencie przez proroków Ciałem się stało i zamieszkało między ludźmi, to wówczas wszelkie potęgi ziemskie, które się zdawały najsilniejszemi, i miały moc dla innych takich samych śmiertelnych, truchlały przed majestatem Dzieciątka Bożego. Wiesz przecie z historyi świętej, że tacy trzej królowie Wschodu, a więc moce ziemskie, przed tem Dzieciątkiem padli na kolana.

Teraz zrozumiałem słowa kolendy, lecz ponieważ groźnego Reintera wciąż jeszcze miałem na myśli, zapytałem:

— A czy, mamusiu, taka moc, jak nasz pryncypał, truchleje przed Dzieciątkiem Jezus...

— I on będzie truchlał, gdy go dotknie prawica Boża... Bo, moje dzieci, Pan Bóg nie rychliwy, ale sprawiedliwy.

. . . .

Prorocze słowa naszej świętej, ukochanej matki, sprawdziły się wcześniej, niż mogła przypuścić.

Tej samej nocy, gdyśmy spali w najlepsze, kiedy ojciec na łeb, na szyję powracał z miasta, aby chociaż Boże Narodzenie spędzić przy domowem ognisku, prawica Boża dotknęła von Reintera.

Spotkał go po obfitej mięsnej wieczerzy, zakropionej kilku butelkami narodowego Schaumweinu, atak apoplektyczny.

Lekarz fabryczny puścił natychmiast krew i chory przytomność odzyskał.

Ale, podług opinii lekarza, drugi atak, wobec zwątlonych naczyń krwiconośnych, lada chwila mógł się powtórzyć.

Życie Reintera wisiało na włosku.

Co się nie działo przez te trzy dni w naszej osadzie fabrycznej!

Rozstawnemi końmi sprowadzono aż czterech lekarzy, a po piątego, jakąś znakomitość, wysłano do Wrocławia z miasta powiatowego depeszę, obiecując 3000 talarów.

Von Reinter nazbyt cenił życie, aby miał skąpić.

Przypomniał mu się wówczas i Bóg, o którym zapewne od dawna nie myślał...

Sądził, że jego podwładni oficyaliści i robotnicy powinni się modlić o zdrowie swego chlebodawcy.

Wezwawszy, co tylko przybyłego ojca, butny i silny jeszcze wczoraj tyran, takie słabym głosem czynił dyspozycye:

— Mój dobry panie Wrzesiński... Zarządź, aby w kościołach odprawione zostały nabożeństwa... Niech wszyscy podążą prosić Boga o moje wyzdrowienie... To samo niech będzie i w synagogach...

Ja umrzeć nie chcę... Coby z wami się stało, jakbym ja umarł?... Niechno tylko przyjedzie ten doktor z Wrocławia... On mnie ocali...

Kiedy o tem wszystkiem ojciec przy nas opowiadał matce, zawołałem:

— Moc truchleje... moc truchleje...

— Cicho, smarkaczu, bo jeszcze kto usłyszy — rzekł przestraszony.

Nic przecież nie pomogło.

Ani nakazane modły... Ani sute jałmużny, jakiemi obsypywano biedaków, dawniej psami szczutych z dziedzińca... Ani konsylia, wynagradzanych setkami talarów za każdy dzień, lekarzy.

W chwili, gdy ekstrapoczta wyciągniętym kłusem zajechała przed pałac i z karety na sanie włożonej wysiadał oczekiwany doktor wrocławski, Reinter wydał ostatnie tchnienie.

Stanął przed Sędzią, nie rychliwym, ale sprawiedliwym.

. . . .

W oktawę wigilii, w ostatni dzień starego roku, siedzieliśmy przy zapalonej choince.

I ojca znów nie było, gdyż towarzyszył zwłokom pryncypała, które żona i dzieci wywoziły do Vaterlandu...

— Mateczko, zaśpiewaj nam kolendę — prosiłem nieśmiało.

— Czy tylko nie narobicie hałasu?

— Przecież w pałacu nikogo niema... moc już struchlała — odpowiedziałem z dziecinnym uśmiechem.

I mateczka swym cudownie czystym, melodyjnym głosem, zaśpiewała całą kolendę.

Ostatnią strofę prześpiewaliśmy wszyscy chórem:

Podnieś rękę Boże Dziecię
Błogosław krainę miłą
W dobrych radach, w dobrym bycie,
Wspieraj jej siłę swą siłą....

Adam Błażejewski.

W wieczór wigilijny.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)



Dziwnie to wieczór był smutny i blady!
Niebo bezbarwne, ołowiane, senne,
Z odległych krańców, słało na świat stary,
Chmury posępne i deszczem brzemienne,
Widnokrąg w koło we mgle był spowity,
I żadna gwiazda nie zabłysła w górze...
W szarych bezmiarach tonęły błękity,
Jakby nie znając co wichry i burze,
Lecz wieczną ciszę, na niebie zamglonem.

A w dole, równie smutno, pusto było.
W mieście, nad brzegiem Warty położonem
Panował spokój, bo wszystko, co żyło,
W rodzinnych progach schronienia szukało.

Szary zmrok zewsząd otulił stolicę,
Lecz w każdem oknie światełko zadrżało,
Rzucając jasny odblask -- na ulicę
Najcichsze nawet, kędy opóźniony
Przechodzień, w cichej tej wieczornej porze
Biegł bardzo spiesznie, gdzieś w zapadłe strony.

Musiał być wesół, lub szczęśliw, a może
Młodym był tylko; — bo mimo szarugi
Śnieżnej — i deszczu, co zimnem przejmował,
Z pod kapelusza, raz jeden i drugi
Wzrok jego błyskał, czule obejmował
To niebo chmurne, to mury omszałe,
To bruk nierówny, wykąpany w błocie,
Lub w oknach składów płomyki nieśmiałe —
Lub znane twarze, ujrzane w przelocie!
Co mu tam dzisiaj deszcz grudniowy szkodził,
Ziemia posępna, martwa i milcząca —
Albo świat cały co w kałużach brodził...
Gdy w jego sercu, krew wrzała gorąca,
Gdy w głębi duszy, tak tam jasno było,
Jakby w niej nagle szczęsne przeznaczenie
Cudne światełko na dnie zapaliło,
I wszystkie dawne rozproszyło cienie.

Dziś święto wielkie!... Dziecię-Bóg się rodzi,
I w każdej duszy jakaś struna rzewna
Drży słodką nutą... Dziś, starzy czy młodzi,
Wieśniaczka prosta, czy świetna królewna
W rodzinnem kółku swem szuka wytchnienia,
Rozsterki uczuć, smutków, zapomnienia!

Święta miłości! w najuboższej chatce,
Dziatwa, u kolan rodzicielskich klęczy —
I on ma gniazdko — i on swojej matce
Dar niesie, głowę wawrzynem uwieńczy!

Jaki on szczęśliw!... jak on biegnąc, marzy,
O życiu — które przed nim się otwiera,
Jaka szalona radość bije z twarzy,
Serce po prostu z rozkoszy zamiera!

O, jakże nie drzeć — nie śmiać się, nie cieszyć,
Gdy w duszy takich cudnych myśli roje!...
Szybko wśród szarej mgławicy nie spieszyć,
Kiedy za chwilę drogich ramion dwoje
Otoczą głowę, do serca przycisną?

Jeszcze krok jeden — i do domu wbiega.
Drzwi się otwarły — płomyk lampy błysnął —
A potem okrzyk szczęścia się rozlega:

„Zygmunt! mój Zygmunt!“ I matka sędziwa
Splątane włosy odgarnia mu z czoła,
Miłośnie tuli, całuje szczęśliwa,
Aż od łez biedna wstrzymać się nie zdoła.
On zaś wśród pieszczot szepce jej do ucha:

„O matko! wiesz ty, czem twój Zygmunt został?
Twórcą, prawdziwym synem twego ducha!
Czy wiesz? jam wczoraj złoty medal dostał,
I sławę Tobie, Matuchno przywożę!
Hymn mój zwyciężył — dali mi nagrody
Pierwsze w konkursach — i jutro już może,
Imię Zygmunta, powtórzą narody.“

A ona nagłem szczęściem zaskoczona,
Z okiem utkwionem w tę twarz ubóstwianą,
Mówić nie może, patrzy wciąż olśniona —
Jakby ujrzała istotę nieznaną,
Innego syna. Ach! bo ten młodzieniec
Stojący przed nią, taki piękny, dumny!
Z męzkiego lica tryska mu rumieniec,
Z ócz mu wygląda wyraz tak rozumny --
I taki ogrom szczęścia w oczach płonie,
Że ona — matka — w wielkiem upojeniu —
Mogłaby klęknąć, przed nim złożyć dłonie,
I tylko patrzeć — patrzeć nań w milczeniu.

Tak wielka radość ludzi przeistacza.
Tymczasem Zygmunt, przy nogach jej siada,
Drobniutką postać ramieniem otacza,
I wśród uścisków dalej opowiada:

„Czemu nie byłaś ze mną, ukochana
W ów dzień tryumfu? Słuchaj: — świetna sala,
A w niej publiczność obca mi, nieznana,
Ciśnie się, tłoczy, estradę okala,
Czekając za mną. Drżący i wzruszony
Wszedłem, nie wiedząc czy pamięć dopisze,
Czy zdołam zająć ten tłum zgromadzony.
Grać rozpocząłem, lecz zrazu nie słyszę
Żadnego dźwięku, tylko serca bicie...
Tylko w mej myśli pieśń za pieśnią goni
I niby całe uchodzi mi życie
Z tą jedną pieśnią, która w duszy dzwoni! —
Grałem dość długo — aż w oczach poczęły
Majaczyć krwawe i ponure cienie...
Więc coraz słabiej melodye płynęły,
I pieśń ucichła. Zaległo milczenie
Wielkie — posępne... a w tem zachwycona
Śliczna panienka, siedząca tuż blizko,
W białych zawojach cała otulona,
Niby cudowne, niebiańskie zjawisko —
Rzuciła wiązkę fiołków pod me stopy...
I za tem hasłem, deszcz wieńców zielonych,
Girland, bukietów, świeżych kwiatów snopy
Leciało z góry. Tysiąc ócz zwróconych
Patrzało na mnie — i szałem zachwytu
Porwana ludność, wciąż oklaski biła.
Wówczas dosięgnąć mogłem szczęścia szczytu!
Lecz jedna tylko myśl, radość mąciła,
Że ciebie matko zabrakło w tym tłumie..
Żeś o tej porze była opuszczona,
Oddana tęsknym wspomnieniom, zadumie,
Że Twoja sława dotąd nie pomszczona!
I pomyślałem. Święta noc nadchodzi —
Bóg zstąpi na dół nieść światło w ciemności,
Serca połączą się węzłem miłości...
Czyż mnie o matce zapomnieć się godzi?...
Nie — nie zapomnę!... nim gwiazdka zapłonie
Już stanę w domu: będziem się weselić,
Opłatkiem szczęścia, wspólnej sławy dzielić!
Teraz błogosław... włóż na głowę dłonie —
Mistrzyni moja! już nie będziesz smutną,
Gdy sława nasze rozjaśni ognisko,
Wyrzucim za drzwi tę marę okrutną
Nędzy, co stała wciąż nad mą kołyską!

Dość, dość już matko, okazałaś męztwa,
Codzień z nią walkę zaczynać na nowo
Wśród upokorzeń, bolu i męczeństwa...
Codzień iść naprzód, z podniesioną głową,
Przy ludziach usta do uśmiechu składać,
Najpokorniejszej pracy się nie wstydzić,
Codzień przed Bogiem na kolana padać,
Kiedy świat zdawał się z Twej męki szydzić,
A niebo głuchem było na wołania...

Boże! jam na to patrzał od zarania!
Widziałem głowę Twą szlachetną, Matko!
Jak się chyliła pod myśli brzemieniem,
I żyłem tylko, tem jednem życzeniem,
Aby dla Ciebie, dobić się dostatku.
Dziś jestem szczęśliw i zwycięztwa pewny,
Przedemną stoi otworem świat cały — — —
Czuję, żem silny i duchem pokrewny
Największym mistrzom — jak oni tak śmiały,
Bo sława, przy mnie. Witam nową zorzę,
Która zabłysła nagle na mem niebie!
O Matko, pozwól, niech głowę położę
Na Twoich piersiach, przytulę do ciebie,
Ty mojej duszy serdeczny aniele,
Ty moja święta!“
— — — — — — — — — — —

Szaro na świecie. Mgliste, nocne cienia
Okryły ziemię: śnieżne płyną fale,
Ptaszki stulone drżą z zimna i trwogi
A wiatr północy tęskne szumi żale...

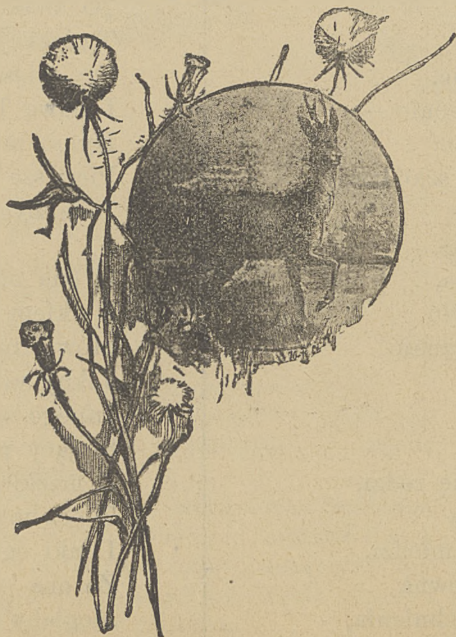
Lecz tam — pod dachem — w komnacie ubogiej
Jeszcze radosne echa nie przebrzmiały,
Jeszcze światełka jasne nie skonały...
Długo — w ów wieczór wilijny siedzieli
Matka ze synem — — aż na jej ramieniu
Zasnął szczęśliwy, a pieśni anieli
Ukołysali go cicho w marzeniu.
I w śnie uroczym ujrzał się porwany
W cudnych melodyi kraj zaczarowany! —

Iry.

Na dzień 24-go grudnia 1899 roku.

Śliczna, jako lilija, Panienka Marya,
Cała piękna, jako róża,
Nie szuka pańskiego łoża,
W żłobeczku powija.
Zacny Opiekunie, Józefie Piastunie,
Nie mógłżeś znaleść gospody
Jezusowi dla wygody
I Najświętszej Pannie?

Czemuż nie w pałacach rodzi się Dziecina?
Wszak świat, niebo, ziemia Jego jest dzie-[dzina?
Ale w stajence ubogiej,
Na sianeczku, w ten mróz srogi,
W kamiennym żłobeczku zimno [Paniąteczku,
Czemuż nie w bogatej pościeli królew-[skiej,
Nie pod pawilonem leży Pan Niebieski?
Pajęczyna pawilonem,
By każdy człek był zbawionym
Od nałogu złego,
Bogu obmierzłego.



Pastuszkowie.

Spieszmy się, śpieszmy!
Panu naszemu drogę zabieżmy,
Plasterek miodu podać na szmatce,
Temu Dzieciątku, Tej Świętej Matce.
Dla naszej Jednej w świecie Pociechy,
Dzbaneczek mleka, leśne orzechy.
Bo to Paniątko, a my cóż? — bieda...
Dziecinie głód się we znaki nie da.

Skłońmy się Panu,
Wedle możności kmiecego stanu
Złóżmy u proga, cośmy przynieśli,
Dla Pacholątka Świętemu cieśli.
Święty Józefie, przyjmijże dzbanek,
A przyczyń słówko, jako za wielą;
Wszyscy się ludzie w świecie weselą —
I myśmy radzi.



Wigilia wychodźcy.

Nadesłane na konkurs „Pracy“.

Zima! Śnieżny kobierzec pokrywa po trudach lata wypoczywającą ziemię, a niebo, milionami iskrzących gwiazd przybrane, spogląda na ciche, spokojne sioło, położone nad pięknem, lodową szybą lśniącem jeziorem w pobliżu lasu. Skromny, wiejski kościołek zdaje się z pagórka swego po nad tem wszystkiem królować, a wieżyczka jego spogląda na dół, ukazując mieszkańcom sioła drogę do wspólnego celu naszego. — Jakiś uroczysty spokój w naturze! Cicho i spokojnie wokoło! Na dworze nie ujrzysz ani jednego człowieka — wszystko w ciepłej izbie przy blasku wesoło świecącej lampy oczekuje chwili, kiedy to gospodarz przystąpi do łamania się opłatkiem, a gospodyni zastawi stół do naszej kochanej, starodawnej kolacyi wigilijnej, obchodzonej tak w pałacu jak i w ubogiej chatce. — Wigilia! To chwila uroczysta, budząca rzewne wspomnienie dawno minionego wieku dziecięcego, budząca do łez niejedno walką życia stwardniałe serce! Chwila to prawie jedyna, odrywająca nas od teraźniejszości, a łącząca nas mimo lat, mimo odległości z miejscami ukochanemi i osobami nam drogiemi! Szczęśliwy, kto może ją obchodzić, święcąc dawne, święte zwyczaje pomiędzy swoimi. Lecz niestety, nie każdemu to dane! Setki naszych współbraci leje dzisiaj łzy rzewne zdala od swoich, spoglądając na obce niebo, na inne gwiazdy!

Daleko od nas, pod równikiem, tam gdzie nie ma śladu naszej poezyi zimowej, gdzie wieczne gorąco wytwarza w lesisto-bagnistych okolicach zabójcze powietrze, tam na skraju lasu dziewiczego jakiś drwal karczuje egzotyczne olbrzymy, a pot ścieka z czoła wychudzonej, nędznej postaci! Obok niego jakieś przytulisko, niby ludzkie, niby zwierzęce, wzniesione ręką nieudolną. To chata biedaka, który uwiedziony namową, porzucił swoje rodzinne sioło w pięknej północnej krainie, a podążył w świat z nadzieją w sercu, z weselem w oku, aby potem opuścić zrozpaczony osłabione ręce. Ot marzy teraz biedny wychodźca o rodzinie ukochanej, o przyjaciołach, znajomych, i o tej wiosce rodzinnej, której mu tutaj nic nie przypomina, jak może tylko ów krzyż stojący podle chaty, rozpinający swe ramiona ponad grobami żony i dwojga dziatek nędzarza, które padły ofiarą plagi ich nowej ojczyzny, ofiarą żółtej febry. I stoi biedak, samotny i opuszczony, a dzisiaj właśnie wigilia Bożego Narodzenia. Obraz jeden po drugim przesuwa się przed oczyma duszy jego, przywodząc mu na myśl piękną przeszłość dnia tego, i smutną, rozpaczliwą rzeczywistość! — Może tam w rodzinnej stronie gwiazdy już się ukazały na niebie, może tam już zasiadł gospodarz wraz z familią i czeladką do wigilijnej wieczerzy ze staropolskiem życzeniem „Dosiego roku“. Tu i owdzie zapalone drzewka uweselają dziatwę, a stare kolendy rozbrzmiewają w każdym domu! Nie zadługo odezwie się wiejska sygnaturka, wołając na pasterkę, a ludek spieszyć będzie gwarno i tłumnie, aby oddać hołd nowonarodzonemu dzieciątku! Jak to pięknie w tej świątecznie przybranej świątyni! Mile uderza blask świec od ołtarza, przy którym stary pleban odprawia bezkrwawą ofiarę za siebie i owieczki swoje. Z chóru brzmią organy, a głosy dobrane powtarzają w pieśni słowa anioła: „Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludowi.“ Słyszy pracą i zabójczem powietrzem znękany, wyczerpany marzyciel, owe głosy, widzi się z swoimi pośród swoich. — Ale niestety! Drodzy jego śpią daleko od tych stron, do których mu się teraz serce wyrywa; śpią ujęci snem śmierci w ziemi obcej, nie gościnnej! — Bije biedny fantasta kornie czołem przed chlebem niebieskim, który kapłan do góry wznosi, chyli się przed słowy pokoju i wesela, które z kazalnicy do duszy jego spływają — marzy błogo zapominając o smutnej rzeczywistości, która naraz pasmo złotych snów przerywa! Pies wierny, obecnie jedyny jeden towarzysz niedoli wychodźcy, budzi go bolesnem skomleniem z chwilowego zapomnienia. Co za przykre przebudzenie! Los tułacza w tej chwili nieznośnym mu się staje. Bolesno mu w tym dniu, gdzie to każdy spieszy na łono rodziny, samemu w głuchym, ciemnym lesie! Rzuca przeto żelazo z ręki, i bierzy do swoich, tam, gdzie trzy pagórki mogilne ponad ziemią się wznoszą, rzuca się z jękiem w bujną trawę, łącząc się duchowo z drogiemi sercu osobami.

Dziwnie swojsko i błogo staje mu się na sercu, które się uspakaja i już tak burzliwie nie bije! Jeszcze raz jakieś dziwne światło go ogarnia, widzi jak żona z dziatkami woła go do złocistego pałacu, w którym jakieś piękne dziecię się do niego uśmiecha, słyszy raz jeszcze głos dzwonu z wieży kościołka wsi rodzinnej — potem zawiera znużone powieki, klejące się do snu wiecznego!

Ciemność wokoło! Burza szalona podzwrotnikowa wyje pieśń żałobną, a tam daleko na północy wołają dzwony lud wierny na pasterkę, a tam u góry cisza, jasność, światło, i głos aniołów: „Pokój na ziemi ludziem dobrej woli.“

Pierwsze promienie słońca świątecznego oświecają twarz martwą i bladą, ale z wyrytem piętnem pokoju, pokoju tego, jaki niebo tylko dać może.

„Emigrant“.



Bóg się rodzi!

(Nadesłane na konkurs „Pracy“).

Biegną biegną pasterze
Panu złożyć hołd szczerze,
Co się w żłobku narodził,
By świat z niebem pogodził.

Biegną, biegną królowie,
Wielcy Wschodu mędrcowie,
I składają mu oto:
Mirę, kadzidło, złoto.

Górą płyną anieli,
Wyśpiewują weseli
Chwałę Narodzonemu,
Barankowi Bożemu.

Dziś biedne ludzkie mrowie
Cóż temu Panu powie?
Chyba skruchą przejęte,
Całując stopy Święte.

Złoży mu na ofiarę
Brzemię grzechów swych stare,
I łzę żalu serdeczną,
Na poprawę stateczną.

Raduj się duszo wszelka:
Łaska Boża tak wielka,
Że jej nigdy nie zmoże
Ludzkie grzechowe morze.

Lwów, 1. XII. 99. *J. D.*



Do żłobka!

(Nadesłane na konkurs „Pracy“).

Bóg się rodzi! Wieść szczęśliwą
Głoszą światu aniołowie,
I z radością niecierpliwą
Śpieszą króle, pastuszkowie.

Lecz ukryte chwały blaski:
Dzisiaj Bóg — Dzieciną małą,
Dziś On tylko królem łaski
I przygarnia ludzkość całą.

Bóg się rodzi! Szopka licha
Dziś pałacem niebios Pana,
A Dziewica korna, cicha,
Matką Boga jest obrana!

Śpieszmy bracia! Gwiazdka świeci,
I do żłobka ubogiego,
Śród światowych burz, zamieci,
Doprowadzi zbłąkanego.

Bóg się rodzi! Władca świata
Dziś zstępuje tu na ziemię,
Stwórca się z stworzeniem brata,
Aby zbawił ludzkie plemię.

My maluczcy wznieśmy czoła!
Śpieszmy w cichej szopki progi,
Bóg wcielony na nas woła,
Sam Maluczki i Ubogi.

Bóg się rodzi! Już oracze
Wiedzą teraz, dokąd śpieszyć:
Tam, gdzie Dziecię w żłobku płacze,
By na wieki świat pocieszyć:

Złoży wszystko, tu, co boli —
Smutki, gorycz i strapienia;
Tu przytułek jest w niedoli,
Tutaj siła do walczenia.

Bóg się rodzi! Serca rosną,
W piersiach braknie tchu z radości...
Świat rozbrzmiewa pieśnią głośną:
„Chwała Bogu w wysokości!“

Dzisiaj śpiewa ludzkość cała,
Wyzwolona z pęt niedoli,
„W wysokości Bogu Chwała,
Pokój ludziom dobrej woli!“

Marya Nieznana.

Sen wychodźcy.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“.)

Szósta godzina wybiła — dzwonek dał znak spoczynku — wielkie koła maszyn zatrzymały się w ruchu i z wnętrza fabryki oświetlonej ogniskami kuźni, wysypał się rój osmolonych robotników i rozproszył się w ulicach i zaułkach.

Jeden z nich zatrzymał się przy sklepie wiktuałów, kupił bochenek białego chleba, parę śledzi i poszedł z tem do jednego domu, stojącego na końcu ulicy w wielkiem mieście Chicago. Nazywał się dom, a była to właściwie rudera, zamieszkała przez ubogich ludzi. Robotnik, idąc do siebie, spojrzał mimochodem w okno stróża i zobaczył go z żoną i dziećmi siedzącego koło stołu przy wieczerzy. — Jakiś czas przypatrywał się temu — wtem coś mokrego, ciepłego spadło mu na rękę, w której trzymał śledzie. Wzdrygnął się i spojrzał z przestrachem na rękę i spostrzegł, że to była łza, która z jego własnych oczu się stoczyła. Tak się zapatrzył na rodzinę stróża, siedzącego koło wspólnego stołu, iż nie uważał, że mu ten widok łzy wycisnął z oczu. – Bo i on miał rodzinę tam w Wielkopolsce, która w tej chwili pewnie siadała do stołu razem z gwiazdą wieczorną i łamała się opłatkiem, a on nie łamał się z nią już lat trzynaście i wrócić nie mógł tam, gdzie serce się rwało.

Otarł z łez oczy i poszedł ku oficynom, i po ciemnych wązkich schodach dostał się do swego mieszkania na poddasze. Gdy się zbliżał do drzwi, jakiś ruch dał się słyszeć w jego izdebce, coś zaczęło skomleć, to był Azor, jego pies, który, gdy otworzono drzwi, rzucił się do swego pana i skakał koło niego i tulił się koło nogi, tłukąc z radości ogonem po ziemi. — Robotnik pogłaskał go po kudłach, uspokoił, a potem usiadł na taczpanie pod oknem i dzielił się z nim chlebem i śledziem. Swieca wydawała mu się zapewne zbyteczną, bo jej nie zaświecał, może dla tego, że nie miał, a może wolał srebrny blask księżyca, który z za komina wyjrzał i oświetlał okienko izby, a na tle tej jasności widać było kudlatego psa nędznego na tylnych łapach, i ciemne ręce wyrobnika, trzymające chleb i poruszające się to ku ustom, to do psa. Wreszcie opadły spokojnie na kolana z niedojedzonym chlebem, bo jedzący zamyślił się i zapomniał o jedzeniu. Być może, iż chętnie oddałby ten chleb za kawałek opłatka z stron rodzinnych, posiliłby nim duszę, która była głodna dobrych słów. — Nie miał nikogo, tylko psa, a pies mówić nie umiał. W rozumnych jego oczach widział współczucie, był przekonany, że pies rozumie jego cierpienie, ale nie miał słów pociechy dla niego.

Wtem przyszła mu na myśl legenda, którą mu piastunka mówiła o zwierzętach gadających w wigilię Bożego Narodzenia, o jakichś wołach, które przemówiły. Myśl puszczona w świat ludowych urojeń szła sobie luzem, jak pacholę przez las, błądziła bez celu, aż zmęczona, znużona, usnęła.

I śniło mu się, że słyszy kolendę w kościele o północy, że widzi rodzinę swoją, idącą przy świetle latarni do kościoła; — wołał za nią, nikt nie słyszał, nie obejrzał się. Spostrzegł się, że słyszeć nie mogą, bo był od nich setkami mil oddalony i pomyślał sobie z boleścią, czy ja ich też kiedy zobaczę jeszcze? — czy wrócę do nich? — Wtem dzwon wybił dwunastą — coś koło niego ruszyło się pod nogami, spojrzał, to był Azor.

Stał przed nim, przysiadłszy na tylnych łapach, oczy miał zwrócone ku niemu, otworzył szeroko pysk i z gardła jego wyszedł jakiś ludzki, przytłumiony głos i powiedział mu cicho: wrócisz.

Radość wstrząsła nim gwałtownie i wstrząśnienie to obudziło go. — Przetarł oczy i spojrzał. Azor siedział przed nim rzeczywiście na tylnych łapach, jak we śnie, i tak samo patrzał na niego, a wzrok ten zdawał się mówić mu jeszcze: wrócisz...

Robotnik pochwycił psa w objęcie i tulił i głaskał z radości.

M. B.



Gwiazdka szczęśliwych.

Gore drzewko, jak słońce,
Promieniście jaśnieje;
Świateł na niem tysiące...
Toż się dziatwa rozśmieje,
Toż to będzie uciechy,
Gdy zobaczy to dziwo
W srebrne strojne przędziwo
I w złocone orzechy!

Gwiazdka skazańca.

Opowiadanie osnute na zdarzeniu prawdziwem.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“)

Motto.
„O matko Polko!.....
„Klęknij przed Matki Boleśnej obrazem
„I na miecz patrzaj co Jej serce krwawi
„Takim wróg piersi Twe przeszyje razem...
. . . .
„Zwyciężonemu za pomnik grobowy
„Zostaną suche drewna szubienicy,
„Za cały zaszczyt krótki płacz kobiecy
„I długie nocne rodaków rozmowy.“
A. Mickiewicz „Do matki Polki.“

I.

Dzielnym oficerem był Artur Zawisza, walecznym, szlachetnym, gorąco miłującym ojczyznę, dla której zawsze był gotów poświęcić życie. Nadto odznaczał się niepospolitemi zdolnościami i wyższem wykształceniem. Po nieszczęśliwym upadku powstania listopadowego, w którem zaszczytny brał udział, udał się z wielu innymi na wygnanie do Francyi, spożywając gorzki chleb tułacza.

Tu trawiony tęsknotą do kraju, w przekonaniu, że byle tylko poruszyć cały naród, byle poruszyć przedewszystkiem najliczniejszą jego warstwę, lud wiejski, do powstania przeciwko ciemięzcy, a skutek pomyślny uwieńczy przedsięwzięcie i Polska wolność odzyska.

Tą myślą powodowany z wielu innymi swymi towarzyszami broni z dawnej armii polskiej przedostał się cichaczem do Królestwa kongresowego w r. 1833 a zebrawszy w koło siebie garstkę walecznych rozpoczął walkę.

Niestety i tu miał go spotkać zawód bolesny. Wkrótce pojmany na placu boju, odstawiony do cytadeli warszawskiej, długo badany i dręczony, wyrokiem sądu wojennego skazany został ostatecznie na karę śmierci przez powieszenie.

II.

Wieczór rozpostarł się nad Warszawą. Tu i owdzie na niebie zachmurzonem, grudniowem, migocą gwiazdki. W oknach mieszkań widać światło, widać uśmiechnięte, uradowane twarzyczki dzieci oczekujących niecierpliwie, co im gwiazdka przyniesie. Widać i dorosłych zgromadzonych w koło stołów nakrytych, aby się z najbliższymi podzielić opłatkiem.

Boć to dzisiaj wieczór uroczysty, święto dziatek przedewszystkiem, bo to wigilia Bożego Narodzenia!

Tam gdzieś na krańcach miasta, na stoku groźnej Mikołajowskiej cytadeli przytulona do muru więziennego, otulona płaszczem od zimna, czarno ubrana, jakaś kobieta nie młoda, z siwiejącym włosem siedzi, pogląda trwożnie w zakratowane małe okienka więzienia, modli się i płacze.

Wtem ktoś się zbliża.

— Kto tu... i po co — zapyta kobiety oficer rosyjski, robiący wieczorem przegląd warty więziennej?

— To ja mój dobry panie, ja matka Artura Zawiszy, skazanego na śmierć na szubienicy. Przyszłam tu, aby jeśli można widzieć się jeszcze choć po raz ostatni z mym synem, aby pobłogosławić go na drogę wieczności i podzielić się z nim dzisiaj podług naszego zwyczaju opłatkiem.

— Ależ Pani, to być nie może, syn Wasz w zamkniętem szczelnie więzieniu, więzienia strzegą straże, a wpuszczać nikogo nie wolno!

— Panie mój! Ulituj się nademną! — Ulituj się nad biednem zbolałem sercem matki — wszak i Ty masz może jeszcze matkę, która gdzieś zdala tęskni i modli się za Tobą! — Pozwól mi choć na chwilę wstąpić za te mury, pozwól objąć dłońmi macierzyńskiemi szyję mego dziecka, którą za dni kilka obejmie śmiertelnym uściskiem stryczek kata.

Widocznie szlachetne i czułe serce biło w piersi żołnierza, bo łzą mu zaszły oczy, skinął na zbolałą niewiastę, aby zaczekała chwilę a sam wstąpił w bramy więzienia.

Po chwili wyszedł z nich znów oficer w szynelu ze szpadą u boku, a zbliżywszy się do oczekującej niewiasty nagle rzucił się przed nią na kolana i zaczął całować ręce i stopy.

— Matko najdroższa, matko jedyna, to ja, Twój syn Artur, przychodzę się pożegnać z Tobą!

Przychodzę podzielić się opłatkiem z Tobą, któryś mi przyniosła dzisiaj — dzisiaj w dniu wigilii, przychodzę odebrać ostatni uścisk Twej dłoni, ostatnie błogosławieństwo na drogę, z której się nie wraca!

— Synu mój! Arturze kochany, co się tu dzieje — w jaki sposób odzyskałeś wolność?

— Szlachetny Rosyanin, którego ubiór na mnie widzisz, pozostał tam w więzieniu przybrany w strój aresztancki, a mnie udzielił swego szynelu, abym zmylił straże, abym się z Tobą mógł zobaczyć!

— Synu mój jedyny, synu mój najdroższy, dzięki niech będą Najwyższemu choć za tę chwilę jedną, dzięki stokrotne, lecz.... czybyś nie mógł mój synu.... wszak jesteś wolny teraz..... ja cię ukryję, ja ci dopomogę do przedostania się za granicę... gdzie cię nie dosięgnie władza carska!

— Nie matko najdroższa, wiem, że za dni kilka czeka mnie śmierć niechybna, ale myśl taką odepchnijmy od siebie, bo ona nie godna Twego syna, nie godna Polaka!

— Zamiast mnie, śmiercią przypłaciłby swój czyn szlachetny ów oficer, któremu zawdzięczamy nasze widzenie — tę chwilę ostatnią pożegnania.

— Dlatego bywaj zdrowa matko moja jedyna, czas teraz powracać za kratę, czas uwolnić szlachetnego Rosyanina. Zaniosę mu opłatek ten, podzielę się z nim.

I pożegnali się długim uściskiem, — milcząco — pożegnali się na zawsze!

Któż zdolny odmalować cierpienie, jakie w tej chwili szarpało serce matki i syna! Pióro wypada tu z dłoni, słowa zamierają na ustach!

Och ileż to matek Polek żegnało się podobnie ze swymi synami idącymi na plac stracenia, lub w lody Sybiru! Ileż było takich choćby w przeciągu kończącego się stulecia!?

A tam w mieście choinki strojne tymczasem pogasły, wrota świątyń Pańskich rozwarły się na oścież dla ludu pobożnego spieszącego na pasterkę. — Dzwony uroczystym głosem wśród mroków nocy odezwały się nad Warszawą śpiewając pieśń anielską:

„Chwała na wysokości Bogu, a na ziemi pokój ludziom dobrej woli!“

III.

Kilka dni później na placu w cytadeli zawisło na stryczku ciało szlachetnego syna Polski, Artura Zawiszy.

Czyn szlachetny Rosyanina nie ukrył się w tajemnicy. Dowiedział się przez swych szpiegów o nim ówczesny satrapa Paszkiewicz. Gdy stanął przed obliczem jego ów porucznik Sergiusz Swieczyn — tak się bowiem nazywał — wezwany na audyencyą, ryknął Paszkiewicz jak tygrys zraniony, a oczy krwią mu zaszły od gniewu.

— Jak śmiałeś... jak śmiałeś!...

— Ja tu, ja pasy drzeć każę!

Więcej mówić nie mógł, gniew mowę mu odjął.

Lecz o potęgo szlachetnego czynu! Ty rozbrajasz nawet dusze poziome i spodlone niewolą!

Sądzono powszechnie, że Swieczyn swój postępek więzieniem srogiem przypłaci, degradacyą — Sybirem.

Stało się inaczej — ukarany został kilkotygodniowym aresztem, po którym nie zadługo nawet awans podobno nastąpił. *E. S.*



Idzie stary wiarus do ludzi w kolędzie
Witać nowe latko i śpiewać Wam będzie:
Słuchajcie ludkowie! — co Wam wiarus powie
Na kolędę — kolędę.



— Pochwalony! dokąd bracie?
Czy z daleka? — Niedaleki:
Ot, pasiecznik do pasieki.
— Jakąż sprawę tam dziś macie?
— Dziś Wigilia, Bóg się rodzi!
Więc się pszczoła ze snu budzi
I ten chleb się pszczole godzi,
Który podał Bóg dla ludzi.

Choinka u Bozi.

(Nadesłane na konkurs „Pracy").



Słońce grudnia świetlaną błysnęło jutrzenką
I szczyty świątyń, domów promieniem ozłaca.
Dokoła sypiąc światło szczodrą Boga ręką,
Zbiegło do drwala izby, w której z nędzą praca
W zgodzie z sobą oddawna obrały siedlisko.
W izbie wyczytasz wszędzie straszne słowo:
[bieda!
Ni członków nie ogrzeje dymiące ognisko,
Ni chleb spleśniały, czarny, pożywienia nie da,
We wrzącą rzucon wodę — to zaledwie tyle,
By pod dachem od chłodu lodem nie zastygnąć,
By od głodu nie zasnąć w izbie, jak w mogile,
By drżące ręce mogły siekierę podźwignąć.

Mężczyzna, nędznie odzian, klęczał przy tapczanie
I modlił się, wpatrzony w święty znak zbawienia:
„Powszedniego naszego chleba daj nam Panie"...
A potem łachmanami ciepłego odzienia,
Wytartym półkożuszkiem okrył dziecko śpiące.
Dziecko było sierotą — robotnik był wdowcem.
Pospołu na cmentarzu, temu dwa miesiące,
Nad świeżo usypanym płakali grobowcem,
I do rodziny nędza weszła śmierci śladem:
Do pracy rąk ubyło, do porady głowy,
Modlitwa tylko strzegła przed rozpaczy gadem.
Gdy zawitał wigilii poranek grudniowy,
Dziś rok i pod tą strzechą gościło wesele,
Dzielono się opłatkiem, życząc lepszej doli,
A po skromnej wieczerzy śpiewano w kościele.
Teraz...
Drwal w wodę wrzącą dorzucił garść soli
I czarnym, czerstwym chlebem polewkę doprawił.
Śniadanie było krótkie. Dziecko wstało. „Janku —
Mówił ojciec do syna, — jam tobie zostawił
Ciepłej strawy w garnuszku, posil się kochanku,
A potem zaśnij — ja zaś pójdę na zarobek...
Dzisiaj wilia"... — „Ach wilia! przynieś mi opłatka,
Przynieś, ojcze kochany, to ja zrobię żłobek
I Boziuchnę w nim złożę, i jak dziecku matka
W kołyseczce, ja Bozi będę śpiewał: Luli."
— Dobrze moja kruszyno — rzekł drwal głosem rzewnym,
I w ojcowskim uścisku małe chłopię tuli.
Czas do pracy... więc poszedł ojciec krokiem pewnym.

Szarzało... głód i zimno zbudziły dziecinę.
Chłopię, wstając z tapczana, woła: „Ojcze, chleba!"
Próżno chleba wołały te usteczka sine...
Mróz przejmował, więc woła: „Ojcze, ognia trzeba!"
Nie było odpowiedzi... próżno słuch natęża;
Ciemność i głód i zimno razem w strasznej trójcy,
Choć każde z nich powalić zdolne nawet męża,
Na jedno biedne chłopię szły, jako zabójcy.
To też wezbrało serce dziecka takim lękiem,
Że strach ogromny, w piersi tej młodej zaparty,
Nie mógł z duszy się wydrzeć żadnym płaczu jękiem,
Chociaż usta do krzyku, wzrok do łez otwarty.

Samotność rosła, ciemnym otulona zmrokiem,
Z ulicy dolatywał głuchy szmer, jak z głębi.
Na świecie wrzało życie... Dziecko łani skokiem
Wybiegło z izby strasznej... Nagich chłód nie ziębi!
Świat Boży wielki, piękny, w całym majestacie
Błyszczał przed dziecka wzrokiem. Blask latarń gazowy
Brylantami się mienił na śnieżystej szacie,
Co zmarzła kryła ziemię, jakby płaszcz puchowy.
Sanki dzwonią i pędzą na prawo, na lewo;
Ludzie biegną, by zdążyć do wigilii stołu:
Ten niesie dla pieszczochów swych choiny drzewo,
W stęgi, w świeczki ubrane od góry do dołu;
Ten dźwiga paki cukrów, kosztownych zabawek,
I uśmiecha się, myśląc o radości dzieci;
Ten, biedniejszy, kupuje piernika okrawek
I pszenną bułkę chleba. Gwiazdeczka już świeci,
Więc pośpiech wszędzie rośnie. Szła dziecina biedna,
Szła samotna śród szczęsnych tych ojców i matek.
Nie ujęła sieroty dłoń bratnia ni jedna,
Bo dziecko nie prosiło o jałmużny datek,
Bo tylko spoglądało na wesołe twarze,
Czy nie pozna w nich ojca, który o tej porze
Może głodny, zziębnięty stał na trotuarze,
Czekając pracy... Coraz ciemniało na dworze,
I dziecko, idąc zwolna, zaszło aż na Nową,
Gdzie łuną światła biły okna magazynów.
W jednym lalka, ubrana w suknię atłasową,
Otoczona orszakiem pajaców, murzynów,
Usteczka otwierała i oczki mrużyła.
Z boku złocone szable, hełmy, łamigłówki;
Dalej żołnierzy pieszych, konnych straszna siła;
A dalej jeszcze wioska, dwór, topole, krówki.

Chłopię stało przed oknem, pełne zachwycenia,
A chociaż głód pozierał przez oczęta wpadłe,
A chociaż mróz przejmował przez szmaty odzienia,
Radością promieniały usteczka wybladłe
I szeptały z uśmiechem: „Jak to piękne... cudne!"...
A w tem niewinnem sercu nie było zazdrości
A w tej główce nie powstały żadne myśli brudne,
Jakie żywią, gdy widzą zbytek, ludzie prości.
Stałby może chłopczyna tak wieczór, noc całą,
Lecz nagle wszystkie światła zgaszono wystawy...
Teraz poczuł, że śnieg go okrył płachtą białą,
Ujrzał ulice puste, bez życia i wrzawy.
Może ojciec powrócił?... Poszło chłopię zwolna...
Lecz zaledwie suwały się nóżki zziębnięte,
Kierunku drogi myśl już rozpoznać niezdolna.
A więc oparł chłopczyna ciałko mrozem ścięte
O figury Najświętszej Panienki podnóże,
Co przed po-franciszkańskim widnieje kościołem.
Patrzył w gwiazdki, co złote migotały w górze,
Aż ciężkość ołowianą poczuł ponad czołem,
Aż zwarły się powieki senne, mrozem skrzepłe.
Chwilę jeszcze czuł śniegu spadające szmaty,
Aż owiało go jakieś tchnienie błogie, ciepłe;
Zdało mu się, że pada nie śnieg, ale kwiaty,
Że w siłę spotężniały... idzie, biegnie, płynie,
Że wnętrza głód nie targa, ciała mróz nie dręczy,
Aż ocknął się w cudownie uroczej krainie,
Wspaniale oświetlonej szmaragdami tęczy.
Powietrze wonne drgało słowików piosnkami,
A w piosnkach tych rozeznać można było łatwo
Słowa wciąż powtarzane: Bóg nad sierotami!
Roiły się kwieciste pola drobną dziatwą,
Strojną w śnieżne sukienki i różowe szarfy,
U ramion jej skrzydełka szeleszczą złocone,
A wszystka dziatwa pląsa przy akordach harfy.

Patrzy chłopię na siebie... było tak jak one!
I szczęśliwe jak one, pląsa w dziatwy gronie,
Podziwia wielkie cuda, — patrzy — aż tam dalej
Rozłożysta choinka tysiącem gwiazd płonie,
Obwieszona wstęgami z pereł i korali
I okryta takiemi Bożemi cudami,
Przy których bladła nawet jutrzenka poranna.
A dziatwa ciągle szepcze: Bóg nad sierotami,
A gdzieś z wyżyn potężny płynie ton: hosanna!
Tu były wszystkie dziatki: przez matki rzucone,
I te, którym na ziemi odmówiono kątka,
I te, które pomarły zaledwie ochrzczone,
I wśród boleści głodu zmarłe niebożątka;
Tu ich głód nie zabija, ani chłód nie mrozi,
Tu, za wszystkie na ziemi przebyte męczarnie,
Te dziatki mają wieczną choinkę u Bozi.

Biedni! z ufnością patrzcie na mogilne darnie!

L. W.

Paryż, na gwiazdkę 1899.



„A Słowo Ciałem się stało
I mieszkało między nami“.
Jak szeroko rosną zboża,
Tak szeroko śpiew ten znany:
W każdej chacie, w każdym dworze,
W każdym zamku i w klasztorze
Grzmi po ziemi pieśń wesela
I witają Zbawiciela!



Tęsknot wychodźcy.

(Patrz ry nę na str. 1331.)

Dni tak ni ele, gdy od ciebie w dale
Przez oce y zaniosła mnie barka,
Ojczyzno droga! A już tęsknot fale
Płyną, ch myśl się wyrywa im szparka

Kraina piękna, jak dziewczę swawolna,
Próżno wędrow a ciekawego nęci.
W sercu mem ylko ojczyzna niewolna
I ona tylko w ślach i pamięci.

Nad łany długie, piaski Sahary,
I nad twych gro w dymy stufabryczne,
Milsze niebiosów aszych mi wiszary
I ptasząt naszych chóry stujęzyczne.

I nad twe złot i nad mowę twoją,
I nad twe dzie e, nowa części świata,
Milszy nasz ch opek, który grzędę swoją
Orze, w ubóstw e trawiąc życia lata.

Nad twe pomniki, granity i spiże
Milszą mi harda Wawelska stolica,
Której podnóże modra Wisła liże
I starodawne odbija jej lica.

Lecz, iż przyjęłaś biednych moich braci,
I ja o tobie za mnieć nie mogę.
Dobry uczynek niechaj Pan zapłaci,
Niech ci godow przygotuje drogę.

Żegnaj mi zdrowa Krasna i szczęśliwa
W jasnościach stąpaj przez wieków godziny,
Niechaj bogactwa odzi twoja niwa,
Niechaj się płodnie mnożą twoje syny.

Żegnaj kraino, wolna i bogata:
Nie na twej szczęścia zażywać mi ziemi,
Bo tam już czek ma niewolna chata,
Żyć i pracować eba między swemi.

Żegnaj Ameryko! egnajcie rodacy!
Niech Bóg wam no ą błogosławi ziemię!
Niechaj pomaga w ażdej waszej pracy
I niechaj sławnem czyni polskie plamię!

Ja do dom wrócę Polskę pozdrowię
Od was, co na tej ziemi dziś żyjecie,
A Polska sercem matki wam odpowie,
Matki najlepszej, jaka jest na świecie.

G. C.

Nie na lamach srebrem tkanych.

(Nadesłane na konkurs „Pracy“).

Nie na lamach srebrem tkanych,
Złotym szychem haftowanych
Położyła Go,
Lecz badylków pęczek suchy
Słała Mu pod rączek puchy
Zadumana łzą...
A gdy upadł szron perłowy,
Zdjęła Panna rąbek z głowy,
Promieniste zgło,
I okrywszy nagie nóżki,
W mchu tuliła Go w poduszki,
W mchu tuliła Go.
O mój synku, o niebieski!
U Twych ustek marzną łezki,
A Tyś świata król!
Czemuż Tobie nie hejnały
Po tych białych rosach grały
Jeno płacz i ból...
W świat nie grały trąby złote
Na mir ludziom, na ochotę,
Na słoneczny świt!
Ale jakieś szły w niebiosy
Krwawe skargi, smętne głosy
Ziemskiej kaźni zgrzyt.
Napisano, że pragnących
Ty napoisz i łaknących —
Chleba, Wina dasz...
Aleć synku, matki gleba,
Ścierz ugorny!... nie masz chleba!
Cóż Ty ludziom dasz?

. . . .

I wyciągnął Bóg rączęta:
„Matko moja, Panno święta!
Nie płacz gorzką łzą,
Czyli nie wiesz, że me kraje
Lilijowe Ojca gaje,
Gdzie anieli śnią...
Utul oczy nienaspane,
Nad pragnące, nad zbłąkane,
Jać nakarmię świat
I nie chlebem ani winem,
Ale mojej krwi rubinem
Nakarmię ten świat...“
A szedł ku mnie smętek ony
Krwawą stopą przez zagony,
Od tych ludzkich pól,
Bym go w jasne ujął ręce
I utulił w ducha męce,
Bom ja bólu król!

Kraków, na Gwiazdkę 1899. *L.*

SZCZĘŚLIWI.

OBRAZEK.

— Będą pon pili arbatę, to zarno zrobie?

— A gdzie to Mateusz, że ty za niego!

— Pon go przeciek zwolnili i poleciał do kobity na święta.

— Prawda. Duży tam mróz?

— Sielno skrzytwa; ino się śnig łysni a mróz scypie kiej pies! — odpowiadała młoda dziewczyna, prawdziwy typ chłopskiej piękności, bo wysoka w miarę, rozrosła, rumiana niby miesiąc na nowiu, o regularnych rysach twarzy i wielkich, mocno modrych oczach.

Poprawiła sobie czerwonej chustki na głowie i dziobała pogrzebaczem drwa w kominie, nie śmiejąc mówić więcej, tylko z pod oka rzucała spojrzenia na siedzącego pod oknem. Patrzała się z jakąś pokorą i żałością na jego twarz pochyloną, suchą i jakby zamgloną smutkiem. Była to twarz jeszcze młoda, ale o wyrazie zupełnie biernym i nawet mazgajowatym i napiętnowana zmęczeniem. Niebieskie, jakby wyblakłe oczy świeciły jakoś sennie, ociężałość miał w ruchach i zniechęcenie.

— Marcysiu! to zrób mi herbaty — odezwał się po długiem milczeniu i spojrzał na nią.

Dziewczyna spuściła oczy i zakrzątała się żywo koło samowaru.

— Ojciec jest?

— Nima. Tatulo pojechali do miasta, kupić coś niecoś na świnta.

— To dzisiaj wigilia? — zapytał znowu.

— Juścić ze wilija. Pon jadą dzisia do swoich? — zapytała nieśmiało.

— Jadę, muszę się nawet spieszyć.

Podniósł się i zaczął chodzić po izbie.

— Mam urlop, pojadę — myślał, zataczając koła po glinianej podłodze. — Pojadę... Święta... pojadę... — i stanął nagle na środku izby. — Aha, do Józka pojadę, przecież mnie prosił! — odpowiedział sobie i zabrał się do picia herbaty.

Pił spiesznie, prawie gorączkowo się ubierał i co chwila spoglądał na zegarek. Wyszedł przed dom, ogarnął wzrokiem niebo i ziemię i zawrócił na drugą stronę chałupy, do swoich gospodarzy, u których mieszkał i stołował się nawet.

— Zostajcie z Bogiem, Wawrzonowa! — powiedział wyciągając rękę.

— Niech pon jadą z Bogiem! — odpowiedziała stara kobieta i obtarłszy fartuchem rękę, ścisnęła nieśmiało jego dłoń.

— No, bądź zdrowa, Marcysiu!

Dziewczyna pokraśniała i chciała go na pożegnanie pocałować w rękę, ale on szybko schował ją po za siebie.

— Kiedy pon przyjadą? — zapytała Wawrzonowa.

— Dobrze jeszcze sam nie wiem, ale pewnie w św. Szczepan. No, zostajcie z Bogiem!

— Panu Bogu oddajem, szczęśliwa droga! — odpowiedziały obie, pochylając się w ukłonie.

Mróz go na dworze owionął siarczysty, aż się skrzyły śniegi i migotały w słońcu, a osędzielina pokrywała srebrnymi puchami drzewa, płoty i trzęsła

się niby cienkie włókna pierza na słomianych dachach. Druty telegraficzne, ciągnące się zaraz za Wawrzonową chałupą, równolegle z linią drogi żelaznej, wyglądały jakby skręcone z grubych kłaków bawełny i brzęczały przytłumionym, rozlazłym jękiem.

Wszedł na plant i zaraz na przejeździe zastąpił mu drogę dróżnik.

Może mnie pan zwolni na pasterkę? żona mnie zastąpi na przejeździe — prosił pokornie.

— Dobrze.

— Prosę pana, kuropatwy dwie zabiły się o druty. Płoszka je znalozł i przyniósł.

— Zanieście je do mnie i powiedźcie, żeby je Wawrzonowa powiesiła na mrozie.

Poszedł plantem. Snieg zaścielał białą powłoką i pola i rowy, skarpy i plant, tylko wyrzynały się z niego cztery błękitnawe, błyszczące się nici szyn, biegnące prosto. Drzewa i krzaki, rosnące ponad koleją, gięły się pod grubą warstwą śniegu.

Pustka była wokoło: z trzech stron zamykały horyzont mury lasów błękitnawych szerokiemi liniami, a z czwartej majaczyły z oddalenia wioski, jakby przypłaszczone pod ciężarem śniegu. Cisza była ogromna w powietrzu. Wrony tylko tłukły się po plancie za pożywieniem i zrywały się z krzykiem, albo czasami stadko kuropatw wznosiło się z ćwierkaniem i zapadało na kamionki olbrzymie, porozrzucane po polach, niby stogi. Szedł prędko, bo do stacyi miał pełne pięć wiostr. Mijał czerwone domki dróżników, gęsto stojące, dróżników będących na służbie i wybiegał niecierpliwie oczyma naprzód. Pociągi towarowe przebiegały obok niego tak cicho, jakby nie dotykały szyn, tylko płynęły w powietrzu, rozsnuwając za sobą długi, skłębiony i zaróżowiony obłok dymów, wiszących niby chmura w powietrzu spokojnem.

Przyszedł na stacyę zmęczony, ale do osobowego miał jeszcze godzinę czasu.

W kancelaryi zawiadowcy zastał tylko dyżurnego przy aparacie telegraficznym.

— Co, sam pan jesteś? — zapytał po przywitaniu.

— Pojechali wszyscy na opłatek do Witkowskiego; na osobowy wrócą.

— A! na opłatek... — szepnął, siadając na szezlongu.

Siedział milcząc, ale po długiej chwili zapytał się w duchu: „Właściwie dokąd ja pojadę na święta? dokąd?“

Przed miesiącem prosił go jeden z kolegów do siebie na święta; miał jeszcze napisać, ale nie napisał. A on tak się szykował, tak się szykował, tak sobie obiecywał po ludzku je tam spędzić — i nie uważał, że ten kolega nie ponowił zaproszenia listownie, tylko się postarał o urlop i teraz miał jechać — ale poczuł jakieś wahanie, niepewność i rodzaj wstydu go przejął.

— Dla czego on nie napisał? — myślał z coraz większą przykrością. — Może nie chce...

— Prose pana! Starse państwo z paninkami przyjechały, niech pon idą.

— Panie Stanisławie, zastąpcie mnie przy aparacie na chwilę; skoczę do domu przywitam się, podzielimy się opłatkiem i za chwilę będę z powrotem — prosił telegrafista.

— Dobrze — i zaraz usiadł przy aparacie.

— Dobrze, ale dokąd ja pojadę na święta? do kogo? — szeptał do siebie, i zwolna jakiś tępy ból osamotnienia przesączał mu się do duszy. — Dokąd ja pojadę na święta? — i leciał myślą w świat, ale nie było takiego punktu, gdzieby się mógł zaczepić, nie było takiego miejsca, gdzieby mógł pojechać, nie było takich dusz, któreby go oczekiwały. Nic, pustka zupełna.

Aparat zaczął gwałtownie przywoływać. Dał znak, że jest i wyciągnął papierową wstęgę i czytał: — „Serdeczne życzenia wszystkim z Bolimowa.“

— Może Józiek prosił mnie tylko, ot tak sobie, przez grzeczność... — myślał.

„Bagaż, przybory do choinek N. 1247, przewieziono N. 112. Zatrzymać i odesłać“ — wołał znowu aparat. Stanisław czytał, zapisywał, odpowiadał, ale czuł w mózgu coraz boleśniej, że nie ma dokąd jechać — i myślał z goryczą, że wszyscy się jednoczą dzisiaj, że tyle serc czerpie szczęście w tym dniu z ognisk rodzinnych, tylko on jeden jest sam, zupełnie sam, po za obrębem radości i wesela tego dnia uroczystego.

„Co jest wagonów osobowych, przyłączyć do Nr. 7“ — krzyczał znowu telegraf.

— Dopiero tam tłok! Na święta jadą wszyscy — myślał z jakąś cichą zazdrością, ale znowu aparat stukać zaczął: — „Mamusiu! koni moc, przyjeżdżamy popołudniowym całą bandą. Hela, ciasta, sprawunki z nami! — Władek.“ Przepisał ten telegram i zaraz go przez umyślnego wysłał... Cicho się zrobiło w kancelaryi, tylko zegar cykał mono tonne tik, tak! tik, tak!

— Mamusiu! mamusiu! powtarzał z pewną lubością Stanisław, a w duszy jakby mu się naprężała struna jakiegoś żalu i drgała słabo, ale boleśnie...

Wpadł telegrafista, twarz miał rozpromienioną radością, opowiadał mu prędko o swoich i zabrał się do roboty. Kubicki usiadł znowu na szezlongu i milczał.

— Osobowy wyszedł — rzucił telegrafista.

Kubicki ostemplował sobie w kasie bilety i poszedł na peron.

Pociąg przyszedł i cichą stacyę zalał gwar, bo masa ludzi wysiadała i drugie tyle czekało na peronie. Kubicki przyglądał się gorącym przywitaniom, pocałunkom, słuchał radosnych okrzyków i zaciął mocniej jeszcze usta i wszedł do pociągu. Pociąg był literalnie zapchany. Przechodziły wagony, ale wszędzie był tłok nie do opisania. Wszędzie pełno było kobiet, dzieci, tobołów, paczek, twarzy uśmiechniętych, postaci wyświątecznionych i gwaru. Wszyscy rozmawiali i ze wszystkich oczu biła radość i wszystkie usta się śmiały w oczekiwaniu.

Zatrzymał się na balkonie ostatniego wagonu, i kiedy już pociąg ruszał, zeskoczył i nie pojechał.

— A niech to pioruny! Pies ma choć budę i gospodarza — a ja... — syknął ze złością, poszedł do bufetu i pił kieliszek po kieliszku,

Przychodzili tam różni znajomi, witali się, zamieniali po kilka słów obojętnych i odchodzili; on siedział wciąż, bo miał jakąś ukrytą na dnie serca nadzieję, że może go który zaprosi do siebie na wigilię — a nikt go nie prosił.

Słońce się już rozczerwieniało do zachodu, gdy się on podniósł, kupił jeszcze w bufecie butelkę wódki i różnych drobiazgów i powlókł się z powrotem do domu. Nad śniegami mżył się mrok, w głębiach drgały opale, zachód był powleczony złotem i purpurą, gdy dochodził do swojej siedziby. Nie zważał na nic i nic nie widział... prócz tego, że jest sam na świecie.

Patrzali się na niego Wawrzonowie zdumieni, ale nic nie rzekł, tylko wziął klucz, i poszedł do siebie. Rzucił się, jak stał, na łóżko i leżał. Godziny się włokły leniwie, a on leżał i nie mógł już sobie dać rady z bólem, nie mógł przemódz ogromnej tęsknoty i żalu, jaki nim szarpał. Wił się na tem łożu w męce, wyciągał ręce jakby po ratunek, żebrał spalonemi usty zmiłowania jakiegoś; ale męka trwała, sieroctwo trwało, — a zmiłowania nie było. Jakiś zielonawy, pełny czerwonawych refleksów mrok wlewał się do izby przez zamarzłe szybki i pogrążał wszystko, jakby we własną niepamięć, a jemu zaczęły snuć się we wspomnieniu całe lata tułaczki, fragmenty życia przeszłego, wieczna nędza — człowieka bezdomnego, przerzucanie z kąta w kąt kraju, i ten ostatni, czteroletni pobyt na kolei. Od czterech lat wisiał przy drodze żelaznej na nędznej dla wszystkich posadzie starszego robotnika, ale dla niego było to błogosławione miejsce, bo cztery lata tutaj przesiedział spokojnie, i zdawało mu się, że już przestał go trapić los zawistny. Dobrze mu było tutaj. Zżył się z chłopami i chłopiał sam bardzo prędko, unikał kolegów, miasta, nie wyjeżdżał nigdzie, bo co prawda nie miał i do kogo. Myślał tylko czasami ze strachem, że mogą go stąd wziąść i wysłać na drugi koniec linii. Chłopi otaczali go życzliwością, bo dobry był dla robotników i sam się zresztą garnął do wsi i do ludzi wiejskich. Zapomniał po trosze o innym świecie, i innych ludziach i o swojej samotności, dopiero dzisiejszy dzień rozdrapał mu przyschłe rany i przejął go głębokim bólem świadomości, że jest sam na świecie, że nie ma ani rodziny, ani przyjaciół, ani jednego serca życzliwego... Sam!

Myśli mu się rozbiegały w świat, jakby szukając serca i duszy bliższej, ale spadały niby struny zerwane gwałtownie, że aż jęczał ciężko... Sam! Zaczął chodzić po izbie, żeby przytłumić wzruszenie, i rozpalał się wewnątrz łzami, co mu zalewały serce taką ostrą gryzącą falą cierpienia, że aż jęczał i chwytał się za piersi, bo mu zdawały się pękać od łkania... Męka trwała wciąż i trzęsła nim, odbierając prawie przytomność.

Węgle dogasały w piecyku, a mrok wieczoru zapełniał izbę jakby szmaragdowym pyłem, a przez okienko widniał rozległy, mroźny świat, stojący w wielkiej ciszy i spokoju.

— Sam! sam jeden na świecie, bezdomny, jak pies! A niech to pioruny zatrzasną! a niech!... — zakrzyknął prawie głośno i poczuł taki nagły przypływ bólu osamotnienia, taka rozpacz go przejęła bezgraniczna, że upadł na łóżko i zapłakał ogromnym, męzkim płaczem,

co to serce rwie kawałami, pali jak ogień i boli, boli, boli.

Cisza była dokoła i szarota, tylko ten spazmatyczny płacz rozdzierał powietrze krwawą smugą beznadziejnej rozpaczy, i płynął ogromną skargą w nieskończoność.

— Panusiu! — szepnął cicho Wawrzon.

Kubicki się porwał z łóżka i patrzał na chłopa nieprzytomnemi oczyma.

— Może pon do nos pódą na wilije, już tam kobita nasykowała, co mogła, przeciek pon nie pogardzi... przeciek zawdy mili choćby z chłopamy kiej samymu.

— A... dobrze... dobrze... — nie mógł więcej nic powiedzieć ze wzruszenia, jakie go ogarnęło.

„Poczciwi, dobrzy...“ — myślał z serdeczną wdzięcznością, i poszedł na drugą stronę.

Marcysia stała przed sienią i wyglądała pierwszej gwiazdy.

Cisza... Niebo pogodne i przysłonione zwojami mgieł, przestrzeń biaława majaczeje nieobjętym ogromem. Z okien chałup biją łuny; czasem żóraw zaskrzypi przy studni, zachrupoce śnieg pod nogami, albo gont lub płot trzaśnie na mrozie, i znowu cisza, rozlewająca w sercach spokój słodki.

Hej! jak tu dobrze, przestronno i spokojnie, hej!

— Już są gwiazdy, — szepnęła Marcysia, wchodząc.

Wawrzon z opłatkami na talerzu podszedł do Kubickiego. Zaczynają się łamać, postacie się chylą; ramiona się obejmują, usta szepcą, a w oczach błyszczy rozradowanie dusz wierzących i pobratanych.

Snopek żyta stał w kącie, a na białem przykryciu stołu postawiła Wawrzonowa miski z kartoflami i barszczem na grzybach. Dzieci sprawiały się cicho, bo na wszystkich twarzach leżało religijne namaszczenie. Po barszczu z kartoflami, Marcysia podała śledzie, opiekane w mące na oleju, grzyby smażone, kapustę ze śliwkami, potem kluski z makiem, a na ostatku racuszki także na oleju, bo chłopi w wigilię nie używają nabiału. Wszyscy jedli dosyć łapczywie, tylko Kubicki nie mógł przełykać, tak go dusiło rozrzewnienie.

— Proszę panusia, toć nie honor ostawiać na misce! — prosił Wawrzon.

— Nie slacheckie to jedzenie, ale z dobrego serca, to muszą pon przyjąć, — dodała stara.

— Dziękuję, nigdy wam nie zapomnę, że jesteście tacy dobrzy!...

— A bo i pon lo nos taki, że i rodzony nie byłby lepszy i milszy. Pon już całkiem swojak.

— A bom i swojak, człowiek jestem taki, jak i wy, i lepiej mi między wami, lepiej...

Zamilkł, ale było mu coraz cieplej i coraz zaciszniej; gorycz, żal, osamotnienie odchodziły gdzieś na lasy, a on czuł, że mu teraz bardzo dobrze, że jest jakby z rodzonymi i serdecznymi... Ten świerszcz, ćwierkający za kominem, ten stół, ci ludzie, ten nastrój, ta cisza wokoło, przerywana tylko trzaskaniem płotów i skomleniem psów, hukiem przebiegających pociągów; te oczy rozradowane i dusze pełne dobroci, — wszystko to przywodziło mu na pamięć dawne jakieś obrazy rodziny, dzieciństwa, i przenikały go czułością melancholijną.

Przyniósł im od siebie herbatę, cukier, wódkę, co tylko miał w zapasie.

— Bierzcie, moi kochani, bierzcie, — szeptał, czując, że duszę by im dał gdyby zechcieli.

Potem Marcycha zaczęła czytać z Historyi Świętej o Narodzeniu Pana Jezusa.

Wawrzonowa szykowała herbatę, a gospodarz pykał z krótkiej fajeczki i kołysał nogą kolebkę z najmłodszym.

— Loboga! Jezusie nojsłodszy! — szeptała kiedy niekiedy Wawrzonowa, załamując ręce. — O bidota serdeczna, o Paniątko kochane, na słómie, w oborze się urodziło! Taki król i w mizeracyi!

Kubicki słuchał tylko i rozmarzał się coraz głębiej. Nie drażniły go ich twarze, naiwne wykrzykniki, stroje proste, ani chropowe czytanie Marcysi, którą sam czytać nauczył, — nic, — czuł, jakby tu wzrósł pomiędzy tymi ludźmi i temi ścianami, jakby po za tę chatę nigdy się nie wychylał, i był tem samem, bo i zaczynał czuć tak samo, bo i tak samo się rozrzewniać niedolą Jezusową, i tak samo w sercu czuł wielką wiarę i wielką miłość do Tego w stajence urodzonego.

Tak mu dobrze było, tak słodko, tak spokojnie, że przemykała mu chwilami myśl jakaś, i wtedy ogarniał wzrokiem Marcychę i myślał:

— Zostanę tutaj... co tam! zostanę! — i ciepło jeszcze większe czuł w sercu, i marzenia jakieś niejasne o szczęściu cichem, przy ziemi, przy swoich, majaczyły mu w mózgu uparcie. — Co tam, zostanę!

Podziękował im serdecznie za wigilię i poszedł do siebie.

Chodził po izbie i rozmyślał, i coraz częściej sobie mówił: — Zostanę! — i widział tęn chłopski dom i Wawrzonów, jako jedyną ostoję dla siebie, i snuło się przed nim to przyszłe życie, jak smuga jasna, jak pola okryte runią wiosenną, pełne ciszy i spokoju. Drugie kury zaczynały piać, a on wciąż chodził i rozmyślał, i zupełnie świadomie powtarzał:

— Zostanę. Gdzie ja będę szukał i czego?

Drzwi skrzypnęły do sieni, wyjrzał i zapytał:

— Idziecie do kościoła?

— Tak, matula w południe idą; jo pódę na pasterkę, ojciec póznik przyjadą po mnie.

— Marcysia, zaczekaj trochę, pójdziemy razem.

Śpiesznie się ubrał w długie buty i kożuch, i poszli.

Noc jeszcze była szczera, ino gwiazdy przybladły nieco i świeciły jak przez mgłę, a nad śniegami wisiał tuman oparów. W chałupach się świeciło i po drodze wytartej płozami sań, majaczyły sylwetki ludzi, albo rozlegał się turkot sanek, a zresztą cisza przeogromna nocy zimowej. Głosy dźwięczały wyraźnie na mrozie, śnieg skrzypiał sucho pod nogami, a nad ludźmi i końmi wznosiły się kłęby pary.

— Marcysiu! — szepnął, biorąc ją za rękę.

— Hę? — i podniosła na niego oczy.

— Niech będzie pochwalony! I pon idą? — mówił jakiś chłop, przechodząc.

— A to zimno, kiej zły pies, gryzie! — zabił sobie ręce o ram na, ale nie usłyszawszy odpowiedzi, wyprzedził ich i poszedł.

Za wsią szli szeroką drogą, wysadzoną olbrzymiemi topolami, pomiędzy którémi długi sznur ludzi majaczył, niby cienie. Wiatr trochę się poruszył i zgarniał śnieg z chrzęstem, i przynosił urywane słowa rozmów, lub pacierzy odmawianych półgłosem.

— Marcysiu! — szepnął ciszej, ale tak miękko, że dziewczyna drgnęła — chciałabyś ty mnie? — dokończył, i uczuł pewną ulgę, bo nie mógł tak łatwo i prosto sformułować.

Dziewczyna aż przystanęła, spojrzała się w niego rozpalonemi oczyma i poszła, nie odrzekłszy ani słowa.

— Chciałabyś ty mnie? — zapytał znowu.

— Jezus Maryo! Co też pon mówią! — odpowiedziała z jakiemś przerażeniem w głosie.

— Mówię prawdę, jeśli mnie zechcesz, to będziesz moją żoną, zaraz w zapusty damy na zapowiedzie.

— Loboga! loboga! przeciek nijaki krzywdy nie zrobiliśwa ponu, a pon tak się ze mnie śmieją.., loboga! — i rozległ się zaraz cichy płacz i szlochanie.

— Nie płacz, Marcysia, nie, ja prawdę mówię; jak mnie zechcesz, to się zaraz w zapusty pobierzemy.

— Loboga! loboga! — szeptała przez łzy i serce się jej trzęsło z olśnienia i strachu zarazem, i szeptała dalej:

— To nie może być, nie może, ino pan sobie taki pośmiech robi, a ja sieroteńka... — i płakała, nie mogąc się powstrzymać.

— Głupiaś! — mruknął niecierpliwie i urwał, bo ich dopędziła gromada ludzi i szła z nimi. Kubicki patrzał na Marcysię, a ona popłakiwała cicho, ale coraz podnosiła głowę wyżej, później zaczęła głośno mówić godzinki, a za nią szeptem powtarzali chłopi.

W kościele było pełno już ludzi. Przed wielkim ołtarzem paliły się wszystkie świece, a nad cyboryum, płonęła wysoko jedna, jak gwiazda. Świerki stały z boków ołtarzy i przy ławkach, że się wydało jakby w lesie, bo białe ściany lśniły się szronem i bieliły się przez gałęzie.

Ksiądz wyszedł z pierwszą mszą.

Kubicki przystanął na środku kościoła, Marcysia zaraz przykucnęła przy nim, a on stał wyprostowany. Szerokie ręce chłopów wyciągały się do niego przyjaźnie, i coraz to ktoś mówił: „Pochwalony!“. Widział twarze sinawe od mrozu, twarde, jakby wyciosane siekierą, czupryny potargane u parobków lub spadające w grzywkach równo uciętych u chłopów starych, oczy jaśniejące dobrocią i naiwną, głęboką wiarą. Uśmiechali się i patrzali na niego przyjaźnie. Nie czuł zapachu butów świeżo wysmarowanych na mróz, ani kożuchów źle wyprawnych, ani zaduchu, przesyconego zapachem skisłego, razowego chleba. Kobiety mruczały głośno pacierze, biły się w piersi, czasem westchnienie wydarło się ze wszystkich piersi, tłum zafalował, ktoś zakaszlał, albo małe dziecko zapłakało głośno, i znowu zatopiło się wszystko w ciszy w poważnych tonach organów i w blaskach świec, które

migotały niby złota glorya; głos księdza rozlegał się poważnem brzmieniem, dzwonki podnosiły wicher ostrych dźwięków — i uczucie coraz mocniejsze krępowało go do tego tłumu. Msza się skończyła i ksiądz zaintonował:

— „Bóg się rodzi! moc truchleje!“ — a tłum pochwycił melodyę i prowadził ją wielkim głosem, aż ziemia drżała, aż gałązki świerków i płomyki świec zaczęły się chwiać, i dołączać swoje drżenia, blaski, do blasków źrenic i drżeń serc i łączyć się w jeden hymn wielki i radosny.

— „Wzgardzony — okryty chwałą!“ — powtarzał Kubicki, i dreszcz go przejmował gorący, bo te głosy i całe uroczyste napięcie dusz obejmowało go w moc swoją.

— „A słowo ciałem się stało!“ — Coraz mocniej śpiewali; słowa, dźwięki, blaski, wszystko zda się skłębiać i płynąć w świat — głębokie tchnienie wiary niesie ją do stóp Nieznanego.

— „Śmiertelny — Król nad wiekami.“ Śpiewa coraz donośniej Kubicki i kładzie całą duszę w te słowa, i czuje, że mu ten kościół, ten tłum rozśpiewany, te dźwięki i wiara, wyrywa z serca wszystkie wspomnienia złe z pamięci, i czuje się spokojnym i ufnym, niby dziecko.

— Marcysiu! wstań — szepnął po skończeniu kolędy, bo dziewczyna cały czas klęczała, czuł jej twarz przy swojej nodze.

Po drugiej mszy wyszli z kościoła.

Wawrzon już był z końmi. Na świecie było błękitnawo od dnia, ludzie rozsypywali się przed kościołem, gromadzili kupkami, rozmawiali, zabijali ręce, tłukli butami o drogę, bo mróz był siarczysty.

Rozwidniło się zupełnie, i słońce już rozkrwawiało świat blaskami, gdy siedli na sanki i pojechali do domu.

Cisza była na świecie i szron tak obsiadł wszystko, jakby kto drzewa obsypał kłaczkami wełny. Słońce wzeszło i świat stanął w złocie i w purpurze, i w takich barwach, jakby kto tęczę rozsunął po świecie; tak się cudnie lśniły śniegi, szrony, drzewa, niebo, tak jasno, czysto i rzeźwo było, że aż konie rżały i buchały nozdrzami kłęby pary.

Kubicki i Marcysia siedzieli razem, a Wawrzon przy koniach.

— Chcesz mnie, co? — zapytał, obejmując ją prawą ręką.

Przycisnęła się do niego silnie i szepnęła cicho.

— Mój... mój... Stachno! — i ukryła twarz rozczerwienioną własną śmiałością.

Sanie tylko świstały płozami po wytartej drodze i zamiatały rzetelnie, a jemu aż się chciało stanąć w saniach i krzyczeć z uciechy, ale ją tylko mocniej przycisnął do siebie i szeptał:

— Marcycho! Marcycho!...

— Stachno!... lobogo! — szeptała, dygocząc się ze wruszenia.

— Wawrzon! – zawołał głośno Kubicki.

— Hę? Wio małe, wio! — i świstał batem.

— Wawrzon, dacie mi Marcysię, co?

— Trrp!... Wio małe, wio! sypnął koniom po parę batów, że wyrywały jak szalone, nic nie odrzekł, bo był jak ogłuszony pytaniem.

— Dacie mi Marcysię? Proszę naprawdę, to nie żaden śmiech.

— Trrrp! zwolnił konie i odwrócił się, popatrzał uważnie na Kubickiego i córkę, potem popuścił cugli, śmignął batem i znowu polecieli, jak wiatr, a potem się do nich przechylił i głosem drżącym z ukontentowania szepnął:

— Panie zięciu... Wio! psimordy wio!... Panie zięciu, połowę gruntu dom, krowę siwą, albo i graniastą... cieloka, świnię... gąsków i kurów, matka nie pożałuje... obleczenie dziwka dostanie, jak tego trza. Wio! psiachmoć, wio... i cztery tysiące... Hop! hop!... — krzyknął gwałtownie, wstając w saniach i wesół, tak prąc konie, że rwały, jak szalone, aż kawały zmarzłego śniegu biły im w twarze, a mroźny pęd powietrza gryzł im twarz, ale oni nic nie czuli, bo stary coraz to się odwracał i szeptał:

— Panie zięciu!... Wio! psiochmoć wio!,'

— Marcysia, kochasz mnie? — szeptał Kubicki nic już nie słysząc.

— Stachno... mój... Stachno... — odpowiadała miękko i pochwyciła jego rękę i całowała długo, a potem nic nie mówili, tylko oczy się im śmiały i dusze, rozbrzmiałe miłością i szczęściem, leciały w świat wyiskrzony.

I byli tak szczęśliwi, szczęśliwi, szczęśliwi...

Władysław S. Reymont.



Powrót z wygnania.

(Patrz rycinę na stronie 1334).

Wieczór wigilii; śnieg płatkami pruszy,
Otula ziemię ciszą i spokojem;
Do wsi rodzinnej szedł wygnaniec blady,
Twarz miał zoraną troskami i znojem,
Włos, niegdyś czarny, osrebrza siwizna.
On patrzy w okół i szepce: Ojczyzna,
Ojców zagroda, ziemia ta rodzinna,
Krwią przodków moich i potem ich płynna.

* * *

I wkroczył szybko na wzgórek wyniosły,
Na który biegał w złotych dniach młodości,
Na szczycie jego trzy brzozy wyrosły,
Wśród nich krzyż sterczy — to godło miłości.
Rzucił się kornie do stóp bożej męki,
Objął ramieniem i tulił uściskiem
I głowę tarzał w tym prochu ojczystym,
A usty szeptał modlitwę podzięki:
Bądź pochwalony, wiekuisty Chryste!
Ojców mych Boże, wysławion na wieki,
Żeś mię powrócił na łono ojczyste,
A nie dał ginąć w obczyźnie dalekiej.
Wracam pod strzechę rodzinną wygnaniec,
Z dali Sybiru tułaczy zesłaniec,
Ty opiekuńcze roztaczasz ramiona
Nad siołem naszem, garniesz je do siebie,
Przytul miłośnie do swojego łona
Mnie, co się modlę i korzę do Ciebie.

* * *

I zbiegł z pagórka na wązką drożynę,
Co krętą ścieżką w podwórze się wije,
Tu gruszę starą, pochyłą wierzbinę
Widzi a serce radością mu bije,
Widzi w wieczornym zmroku chłopskie chaty
Niskie, pochyłe a takie bezpieczne,
Myślą on staje już wpośród komnaty
I wita stare swe ojce serdeczne.
Wtem na zakręcie, co do dworu wiedzie,
Tuż przed nim upiór, czy widziadło staje,
Chłop z zapytaniem: któż to tędy idzie?
Rodziców stróża on w nim rozpoznaje
I woła głosem co radością brzmieje:
„Jakże się macie stary przyjacielu!
„Cóż się tu działo, co się u was dzieje,
„A cóż rodzice po latach tak wielu?“
„Czy to nasz panicz, nasz panicz kochany?
„Ha, na cmentarzu leżą państwo starzy.
„A dziś nam tutaj ot żyd gospodarzy,
„Z swej ojcowizny nasz panicz wygnany!“
A tułacz stoi jak gromem rażony,
Patrzy na święte swych ojców ognisko,
Żegna je wzrokiem, swe rodzinne strony,
W śnieżnej zawieji dziś dlań przytulisko.

* * *

Ze wsi rodzinnej szedł wygnaniec blady,
Śnieg pruszył, — jego zasypywał ślady.

Na gwiazdkę 1899. *Stefan z Poznania.*



Więc od krzyża i od słowa
Ksiądz rozpoczął, za nim głowa,
Głowa domu słowo wierze.
Przy opłatku się przeprasza
Z całym domem w ojców wierze,
Bo to bratnia uczta nasza;
A że z wielu będzie po wiek
Ta gromada, wielki człowiek,
Więc poczyna te biesiady
Pan z opłatkiem od gromady.



Czołem do ziemi!
Prośmy pokornie Świętą Dziecinę,
Przez Przenajświętszą Matki przyczynę:
O długie zdrowie, o miłą zgodę,
O deszcz na wiosnę, w żniwa pogodę,
O szczęście w kraju, o pobyt w raju,
O obcowanie, wraz z Tobą, Panie,
Na wieki.



Tydzień polityczny.

Parlament niemiecki — krótko przed feryami świątecznemi — doczekał się kilku prawdziwych niespodzianek. Jedną z największych była ta, którą zgotował książę Hohenlohe oświadczeniem, że rząd znosi znany § 8 ustawy o stowarzyszeniach, dotyczący zakazu łączenia się politycznych związków między sobą. Zniesienie tego zakazu było wypełnieniem przyrzeczenia danego parlamentowi przez księcia Hohenlohego przed kilku laty. Drugą niespodzianką było wprowadzenie projektu marynarskiego. Uzasadniał projekt ten po kolei minister Bülow, kanclerz, sekretarze finansów i marynarki, Miquel i Posadowski. Zwłaszcza mowa Bülowa wywołała niezwykłe wrażenie. Zapowiedział on jakieś wyraźne dzielenie całego świata między mocarstwa i powiedział, że Niemcy muszą się starać o to, aby za pomocą jak najsilniejszej floty jak najwięcej łupów zebrać. Bliżej zresztą swych projektów nie objaśniał.

Na te mowy, którym poświęcono osobny dzień cały, odpowiedział w dłuższej mowie przywódca centrowców dr. Lieber. Mowa jego nie odsłoniła zamiarów centrum wobec projektów marynarskich, ale zawierała tyle ostrych wymówek pod adresem rządu, że wnioskować z tego można o zmianie stosunków pomiędzy rządem a centrowcami. Lieber w swej mowie ostro skrytykował mowę cesarską, wygłoszoną w Hamburgu, zarzucając ministrowi Miquelowi, że to on oczernia naród niemiecki przed cesarzem i powoduje coraz większe zamięszanie w rządzie i w Niemczech.

Wogóle stanowisko Miquela uchodzi za niezachwiane. Aby się utrzymać, zmuszony był Miquel do ogłoszenia sprostowania w pewnej gazecie, że on nie konspirował z konserwatystami przeciw ustawie kanałowej i że w ogóle sprawowanie jego jest dobrem, jak przystoi ministrowi, którzyby chciał do śmierci utrzymać się przy swym portfelu. Mówią powszechnie o Miquelu jako o kandydacie do — wizyty pana Lucanusa, po której zazwyczaj następuje prośba o dymisyą.

Gdy tak w Niemczech zagmatwane stosunki jedyne tylko dopuszczają rozwiązanie — w formie zerwania rządu z konserwatystami, w Austryi nawet takiego nieprawdopodobnego wyjścia niema. Ministeryum Clary, które zniosło równouprawnienie językowe, zostanie równouprawnione z poprzedniemi ministeryami, mianowicie co do szybkiej dymisyi Jak się zdaje, już nie hr. Clary będzie przyjmował na święta i na Nowy Rok powinszowania urzędników. Czesi za pomocą swej prawdziwie eleganckiej i przyzwoitej, lecz skutecznej taktyki sprawili, że przedłożenia rządowe przez parlament w terminie przyjęte nie będą — i rząd musi ustąpić. W ten sposób Czesi kwitują za rozporządzenia językowe.

Pisząc o tem, co Czesi uważają za ucisk swego języka ojczystego, mimowoli myśl się zwraca ku naszym stosunkom. Gdybyśmy choć tyle mieli, co mają Czesi! Ale, nie, nawet dziesiątej części nie mamy. Pomimo to hakata robi z nas bodaj polonizatorów całego cesarstwa niemieckiego. — „Ulgi, ulgi“, szepczą usta tysięcy, których mowa droga wyrzuconą jest jak niepotrzebne rupiecie pod płot. — Czy ta ulga przyjdzie prędko? czy przyjdzie w pokoju jak pod muśnięciem skrzydła anioła, który w noc wigilijną krąży nad domami ludzi dobrej woli? Czy przyjdzie jak tchnienie burzy i zamieci z trzaskiem i hukiem? któż to powiedzieć zdoła. - Jedno nam tylko szepcze do ucha anioł w wieczór wigilijny — „przyjdzie“.

A prawda. Omało nie zapomniałem wspomnieć o pięknym podarku, który dał nam na święta poseł p. Motty — gdy podczas hymnów wielbiących potęgę Niemiec i przyszły wzrost jej floty — rzekł w parlamencie: Polacy głosują przeciw. Otóż i mamy spokój na święta. Posłom naszym dzięki za to i serdeczne: Wesołych świąt. *K. O.*



Do czynu!

Robakowo p. Gondkami d. 10. 12. 99.

Szanowny Panie Redaktorze!

W miesiącu czerwcu r. b. umieściła Szanowna Redakcya w swem piśmie w nr. 23 artykuł p. A. z Z. z Wągrowieckiego (odezwę) do urzędników gospodarczych i wogóle wszystkich oficyalistów w myśl artykułu w nr. 20 „Pracy“ pod nagłówkiem „W jaki sposób na polu przemysłu możemy przysporzyć majątkowi narodowemu to, co mu ubywa z ziemi ojczystej?

Pan A. z Z. w swym artykule uważa za nieodpowiedni środek przysparzania majątkowi narodowemu przez zakładanie wielkich fabryk i przedsiębiorstw spółkowych, gdyż mogłaby z tego wyniknąć jeszcze większa konkurencya mniejszemu stanowi rzemieślniczemu.

Pan A. z Z. w odezwie swej do urzędników gospodarskich, wszystkich oficyalistów i wogóle do całego społeczeństwa polskiego proponuje, czyby nie można założyć Towarzystwa Rolniczo - Przemysłowego spółkowego z ograniczoną poręką — aby łącznemi siłami zakupywać majątki ziemskie, wydzierżawiać majątki, brać majątki w poręczającą administracyą i te administrować przez członków na rachunek i zysk Towarzystwa; dalej udzielać kredytu członkom za poręczeniem żyrantów na dzierżawy, pożyczek na kaucye i t. d.

Pan A. z Z. ubolewa w swoim artykule najwięcej nad sprzedawaniem, wydzierżawianiem i parcelowaniem majątków w obce ręce, nad upadkiem nie tylko stanu oficyalistów, lecz także i nad utratą tego biednego ludu polskiego, którego nam tak bardzo potrzeba nietylko w sile roboczej, ale i narodowej przy wyborach i t. d.

Pan A. z Z. pisze dalej, że jak przemysłowcy, kapitaliści w swych spółkach zarabiają wielkie zyski i dywidendy łącznemi siłami w zakładach i fabrykach, tak samo możnaby zarabiać łącznemi siłami w proponowanem Towarzystwie w naszych fabrykach natury — ziemi ojczystej. Proponuje więc w swym artykule, ażeby się złączyli wszyscy urzędnicy, gorzelnicy, leśnicy, kupcy, księża, wogóle inteligencya, obywatele ziemscy, gospodarze wiejscy, dalej właściciele ziemscy, którzy już swe majątki sprzedali i t. d. Gdyby ci wszyscy część swych kapitałów zespolili w łączną siłę, byłby kapitał na założenie fundamentu wystarczający.

Jako zyski członkom uważa pan A. z. Z. z proponowanego Towarzystwa, że znaleźliby miejsca urzędnicy gosp. i inni oficyaliści, których nawet bardzo wielu zdatnych siedzi bezczynnie w miastach i miasteczkach i ostatni grosz, który by się tak bardzo mógł przydać ogólnej sprawie — spożywają. Dalej panowie obywatele ziemscy, chcący swe majątki sprzedać lub wydzierżawić nie potrzebowaliby szukać nabywców i dzierżawców wśród obcej narodowości, gdyż mając kontrolę, poręczenie i kapitał całego Towarzystwa, pewniejby majątki swe oddać mogli i z pewnością nie narażaliby się na straty i upadek dzierżawców, jak się to często zdarza. Kupcy członkowie mogliby zaś zakupywać produkta rolnicze i dostawiać do majątków potrzebne towary.

Pan A. z. Z. naszkicował powyższą odezwę i prosił Szanownych Ziomków o zabranie głosu w tej sprawie na tej drodze, czyby ewent. porozumienie dalsze nie było na czasie.

Niestety ów artykuł nie znalazł żadnego przyjęcia w naszem społeczeństwie z wyjątkiem inteligentnego agronoma na Kujawach i wydawcy dziełka „Jak żywić rośliny“ pana Tomaszewskiego, który też uznał myśl powyższą za bardzo zdrową i na czasie będącą i gorliwie zaczął sprawę tę popierać. Prasa zaś nasza nie uznała nawet za stosowne owego artykułu w swych łamach powtórzyć.

Przed niedawnym dopiero czasem, gdy pan hrabia Skórzewski z Lubostro-

nia poszukiwał w niemieckich gazetach dzierżawców, chcąc dobra swe wydzierżawić, poruszyły niektóre pisma nasze myśl w przybliżeniu bardzo podobną do proponowanego przez p. A. z. Z. Towarzystwa. Nawet p. A. Woliński, mecenas i dyrektor Spółki Rolników parcelacyjnej, podał także myśl połączenia owej spółki z mającem się utworzyć Towarzystwem. Niestety i teraz oprócz tych krótkich porwań prasa zajmować się tą sprawą poprzestała, a społeczeństwo nasze nie okazuje dosyć zainteresowania.

Jest to pożałowania godnem, że sprawa tak wielkiej wagi i na czasie będąca tak żółwim krokiem postępuje, albo zupełnie upada. Nasi najserdeczniejsi, jak wszędzie i zawsze, i tu nas o wiele wyprzedzili, bo u nich wyrastają jak grzyby po deszczu coraz to nowsze spółki i towarzystwa pod rozmaitemi nazwami, które nas moralnie i materyalnie zabijają. Nam potrzeba koniecznie nie pisać, rozprawiać i w końcu na niczem poprzestać, lecz energicznie działać i w jak najkrótszym czasie myśl tak zdrową i sprawę ważną, mającą wszelkie widoki powodzenia i wielką przyszłość w czynność wprowadzić.

„Wielkopolanin“ w nr. 256 myśl samą uważa za bardzo dobrą, wątpi jednakowoż o znalezieniu odpowiednich osób, któreby taką sprawę w życie wprowadziły. „Wielkopolanin“ się grubo myli, wątpiąc o znalezieniu w naszem społeczeństwie odpowiednich osób do prowadzenia takiej instytucyi, gdyż wśród naszych agronomów mamy dosyć zdatnych i zdrowo myślących ludzi, którymby można z zaufaniem sprawę taką powierzyć i niepotrzebaby, jak „Wielkopolanin“ proponuje, Zarządu Centralnego Towarzystwa Rolniczego obciążać, gdyż ci panowie sprawami rolniczemi są i tak już zanadto obciążeni, a szczególnie niezmordowany Szanowny Pan Prezes, który gdzie tylko widzi dobrą sprawę dla rolnictwa i polepszenia dobrobytu społeczeństwa, zawsze na czele swoją radą służy.

Nie godzę się także na uwagi „Gońca Wielkopolskiego“ nr. 256, że wielki posiedziciel kilkutysiącznomorgowy nie będzie chciał się wiązać z małymi dzierzawcami, czyli krótko mówiąc, że mogłoby zabrakować materyału do działania, gdyż mówić mogę z przekonania i doświadczenia, że mamy wielu obywateli patryotów, którzy chętnieby majątki swe sprzedali lub wydzierzawili, a nie mogąc dostać w swej narodowości odpowiednich osób i z odpowiednim kapitałem, do ostatniego upadku się trzymają i jako dobrodziejstwo taką instytucyą powitają, a zatem materyału i pracy nigdy nie zabraknie.

Nie zalecałbym także proponowanego Towarzystwa łączyć już z istniejącemi instytucyami Rolniczo-Bankowemi, gdyż jedne pomimo dosyć ładnych kapitałów, niedostatecznie prosperują, inne zaś zupełnie w przeciwnym kierunku działają. Przeciwnie widziałbym za korzystniejsze, gdyby owe już istniejące instytucye do proponowanego i mającego się utworzyć Towarzystwa przystąpiły i w myśl tegoż działały.

Przystępując do rzeczy, nie znam myśli Szanownego Pana inicyatora, nie wiem, w jaki sposób chciałby Towarzystwo proponowane utworzyć czyli potrzebny kapitał zebrać, pozwoliłbym sobie niniejszem temuż Panu tutaj moje zdanie i zapatrywania przedstawić. Musiałoby się utworzyć koniecznie Towarzystwo akcyjne z ograniczoną poręką z jak najmniejszemi udziałami naprzykład po 100 Mk. i z samą gwarancyą 250 Mk., ażeby i mniej zamożni mogli być członkami, majętniejsi zaś mogliby nabywać udziałów jaknajwięcej naprzykład do 100 udziałów. W przypuszczeniu więc, iż znalazłoby się członków.

Czł: 1000	po 1 udz.	= 1000 udz.:	100,000 m.	
„ 500	po 10 „	= 5000 „	500,000 „	
„ 100	po 50 „	= 5000 „	500,000 „	
		11,000 „	1,100,000 „	
Suma gwarancyjna		=	2,750,000 m.	
11,000 udz. à 240 m		Suma	3,850,000 m.	

Chcąc liczyć praktycznie przypuszczam, że na początku znalazłaby się członków dziesiąta część, z dziesiątą częścią udziałów i z dziesiątą częścią z powyższego Kapitału co uczyniłoby 385,000 Mk., po których zebraniu możnaby już interes rozpocząć i stosunkowo do przystępowania członków Towarzystwo rozwijać.

Ażeby już raz zaproponowanej sprawie upaść nie pozwolić, tylko takową w życie wprowadzić, proszę Szanowną Redakcyą „Pracy“ o umieszczenie powyższego listu w swych łamach i z prośbą o powtórzenie we wszystkich pismach polskich, ażeby powyższy artykuł dostał się do wszystkich stanów do wiadomości i tym sposobem mogłyby się odezwać głosy i wyjawić zdania, któreby spowodowały Szanownego inicyatora pana A. z Z. z Wągrowieckiego do dalszego przeprowadzenia ewent: zwołania zebrania, na któremby można gruntownie rzecz tę zbadać, a potem według uznania w życie wprowadzić.

Z szacunkiem

L. Kleinert.

A więc do czynu — komu dobro ogółu na sercu leży. Dziś zamieszczamy powyższy uczciwy i rozsądny głos a wkrótce powrócimy do kwestyi w wstępnym obszernym artykule. Prosimy też wszystkich o wymianę zdania, dla którego łamy naszego pisma na rozcież otwieramy. Niech rok nowy będzie zapoczątkowaniem nietylko zdrowej myśli, ale i czynu! Red.



Głosy od przyjaciół.

Dnia 23 grudnia.

Kochana Redakcyo!

Przysyłam wiersz z prośbą o umieszczenie a wszystkim czytelnikom „Pracy“ w zagrodach, lepiankach i pod strzechami, oraz na obczyźnie przebywającym serdeczne pozdrowienie! Życzę wszystkim zdrowych i wesołych świąt i wszystkim dłoń spracowaną ściskam, bo my wszyscy czytelnicy „Pracy“ to tak jak pracownicy u tego samego pługa. Wszystkich mych krewnych i znajomych, gdy dostaną przed oczy te słowa moje, proszę bardzo, aby popierali naszą ukochaną „Pracę“. *Piotr Pawlak.*

A teraz mój wiersz — choć niezbyt dobry do druku, ale za to ze szczerego serca:

„BOŻE NARODZENIE“.

Zawitały oto święta w nasze progi —
Cieszy się bogaty, cieszy się ubogi.
Narodzenie Pańskie szczerze obchodzimy
I w rodzinnem gronie wspólnie gawędzimy.
Ojciec, łamiąc opłatek, w duchu wszystkich liczy,
Matka łzy roniąc wielu nie doliczy.
Rozpłakali się przeto, serca im się krają,
Że tych świąt podniosłych razem nie odbywają.
Syn, brat, wnuk i siostra nie tu w naszem gronie,
Bo są gdzieś na wygnaniu w dalekiej stronie.
Od nas się odłączyli, znać wcale nie dają,
Pewnie oni tam dzisiaj opłatka nie mają.
Pouciekaliście, jak z gniazdka ptaszęta,
Smutne nasze serce, smutne nasze święta.
Z polskiej ziemi wyszliście do Polski powróćcie,
Do naszej pracy cegiełkę dorzućcie.
Polska ziemio ty święta, czemżeś zawiniła,
Że ci burza twe dzieci tak het rozproszyła?

Piotr Pawlak.

* * *

Kochana „Praco“!

Pozwól, że jeden z „najmłodszych“ — odezwę się dziś po raz pierwszy do Ciebie w imieniu grona kolegów-przyjaciół. Chciałbym listem moim zwrócić się do tych wszystkich gimnazyastów, którzy czytając „Pracę“ i będąc szczerymi patryotami, nie wdają się w bliższe stosunki z kolegami; rozmów, gdzie chodzi o rzeczy polskie, unikają, a dopiero w domu stają się naprawdę tem, czem są. Patryotyzm dobrze zrozumiany nakłada pewne obowiązki na każdego, a pierwszym z nich jest bez wątpienia obowiązek wywierania moralnego wpływu na swe najbliższe otoczenie, aby krzewić przywiązanie do idei narodowej i budzić poczucie obowiązków wobec narodu.

My potrzebujemy młodzieży patryotycznej, oddanej z zapałem sprawie — bo jeśli egoizm i wyrachowanie będzie się wśród nas krzewić, cóż się tedy ze

...nie? Wszak wiadomo, co traci
...zeństwo przez to, jeśli nasza
...dając się tylko na swój
...k nie cofa się przed wy-
...zagłodu, który przywię-
...ch stron i prowadzi do
...ków z krajem.
...y te słowa przyczyniły
...ej zmiany w tym kie-

Ad. N. prymaner.



...GENDA.

"...ziemi z ojczyzny zabrali..."
W. P.

...tani dolą,
...i z polskiej ziemi,
...órym serca bolą,
...zed progi świętemi
...zechy; inni blizny,
...ieszczęścia ojczyzny.

... Starzec przewodnikiem
...kresami na czole,
...niegdyś, dziś pątnikiem,
...ść — w piersi zamknął bole;
...grono starca słucha,
... płynie mądrość ducha.

...o, patrzą, czy od wschodu
...ieści nie uczyni.
...o wiecznego grodu,
...Piotrowej świątyni,
... na marmury...
...ci na nich z góry.

... naród sobie sławi
...w skale ma grotę:
...wią — ludziom błogosławi.
...nezeń dawa moc i cnotę;
...elikwią obdarzy,
...łąć się nie poważy."

...niów o drogę;
... dziecko znało.
... ulicy ubogie,
...ę im wskazało,
...dźmy, niech mąż boży
...owy dłoń nam złoży!"

...skale wykowana,
...poza bluszczów cieniem.
...mienia krzyż Pana
...hodu promieniem;
...ą ptacy — wonie,
...orze słońcem płonie.

...ł ze dzbankiem wody,
... Pańscy proroccy.
...y, zapadłe jagody,
... nieśmiertelnej mocy:
...płynął z jego czoła,
...ycie dłoń anioła.

...icy z daleka,
... otwierać nie śmieją.
...dobny ból ucieka,
...ielkim bólem zarosłą koleją:
Dla ojczyzny złotej pragną doli!...
On ze dzbankiem zbliżał się powoli.

„Zkąd wy bracia?" spytał. „Z polskiej ziemi!"
„Z polskiej ziemi ludzie? znam jej błonie!
Czegoż chcecie?" A starzec z białemi
Włosy rzecze: „Polska we łzach tonie!"
We łzach tonie? czegoż jej potrzeba?"
Ci odrzekli razem: „Łaski nieba!"

„Ból przeżegnaj co nam serca pali,
Skute nasze przeżegnaj ramiona.
„Daj relikwię nam dla naszej stali,
„Bo się kruszy w górę podniesiona.
„My twym darem lud obdzielim cały,
„My nam ojców dobijem się chwały."

„Macież z sobą garść rodzinnej ziemi?"
Mąż ich boży spytał zadumany,
Białowłosy rękami drżącemi
Wnet mu bryłkę podaje z sukmany:
„Z sobą — rzecze — wzięliśmy po bryle
„By w obczyźnie mieć ją na mogile."

Mąż tę bryłkę wziął i ścisnął w dłoni,
Ścisnął a krwi kropla na głaz ścieka;
Nad krwią słychać jęk, — w powietrzu dzwoni
Skarga duchów, lecących z daleka...
A pątnicy klękają do koła,
I gdzie spadła krew, schylają czoła.

Więc mąż rzecze: „Czemuż was przestrasza
„Ta krew, ręką moją wyciśnięta?
„Relikwiarzem dla was ziemia wasza,
„Krew relikwią, którą Bóg pamięta.
„Idźcie z Bogiem! w miłującej dłoni
„Ziemia wasza krew cudowną roni."

A pątnicy wstają, wielbią Pana,
Trzykroć: „Chwała!" rozsyłają w echa;
Błogosławią ziemi co krwią zlana,
Błogosławią krwi, bo z niej pociecha,
I wytrwałość!... A ty sprawisz Panie!
Narodowi z tej krwi Zmartwychwstanie.

Miecz. R.



To i owo.

„Coby to Węgrzy lub Niemcy zrobili z Zakopanego, gdyby ten uroczy zakątek tatrzański był węgierską lub niemiecką własnością!" Takie żałosne westchnienia każdy z nas słyszał i każdy z nas powtarzał, brnąc do kolan po błocie zakopiańskiem, trując się kuchnią w „dworcu tatrzańskim" lub rozbijając sobie nos na nieoświetlonych ulicach. A jednak wszystkie te westchnienia nie zdołały jeszcze wzruszyć i przekonać władz gminnych i krajowych, że trzeba podążać za Europą, jeżeli Zakopane ma stać się istotnie „perłą Galicyi".

... cóż wam do ...
... sobie połamie kości,
De... zakopańskiego:
Goście są dla nas, nie my dla gości.

Pamiętam, że ten czterowiersz napisałem kiedyś w przystępie złego humoru na ścianach jakiegoś schroniska. Ale nawet rymy nie wzruszyły zatwardziałych grzeszników. Taki będzie też niezawodnie los artykułu „Słowa Polskiego" p. t. „Pia desideria". Powiedziano tam słusznie, że dworzec tatrzański ze swemi zabawami tańcującemi, restauracyą i kartami nie odpowiada szerszemu zadaniu, aby rozproszoną publiczność łączyć i zaznajamiać.

„Po za tem, Zakopanemu, jako stacyi klimatycznej, brak wielu rzeczy i porządków sanitarnych, bez których prawidłowy jej wzrost pomyśleć się nie da: brak czystej wody do picia, uporządkowanych ścieków, chodników, oświetlania ulic, na których dziś panują takie ciemności, że wieczorami chodzić prawie niepodobna etc. Wszyscy to uznają, nikt jednak nie zadaje sobie trudu pomyśleć, kto ma spełnić te pia desideria i zkąd wziąść na nie pieniędzy?

Z tem nie liczą się te wszystkie głosy, tak jak gdyby liczyć się zdawały na interwencyę Opatrzności.

Nie spełni ich zapewne Towarzystwo tatrzańskie, śpiące jak legendowi rycerze w Tatrach; nie spełni również klimatyka ani gmina, bo to przechodzi ich siły i kompetencyę, a właściwie i zadania autonomii gminnej. Ale przypuściwszy nawet, żeśmy znaleźli te siły, to pozostaje pytanie, bodaj najważniejsze, zkąd wziąść pieniędzy, które zawsze przedewszystkiem postawić sobie należy, jeżeli się chce do praktycznych dojść rezultatów".

Tak! zkąd wziąść pieniędzy? Czyżby nie było właściwem, aby tu kraj przyszedł z pomocą, gdy siły gminy i Towarzystwa tatrzańskiego nie wystarczają? Przecież ten kraj ciągnie duże zyski z wędrówki ludów do Zakopanego. Sam Kraków rok rocznie zarabia na tem setki tysięcy. Taki zarobek obowiązuje i czas byłby zaiste najwyższy, aby sobie o obowiązkach tych przypomnieć raczono.

* * *

Mało uczęszczany, z powodu znacznej odległości od Krakowa, kopiec Wandy uszkodziła złośliwa ręka. U szczytu tego kopca widniała alabastrowa figura, wzniesiona kosztem p. Kozerskiego, jednego z okolicznych obywateli. Podczas ostatniego odpustu w Mogile swawolnicy jacyś, pragnąc się szybciej wydostać na szczyt kopca, chwytali się rękami ozdób figury, strącili ją i połamali. Towarzystwo miłośników historyi i zabytków Krakowa zamierza w porozumieniu z fundatorem przywrócić kopcowi owe zdala widoczne ozdoby i utrwalić je należycie.

* * *

W kongresie geograficznym w Berlinie brało udział, kilku Polaków i tak: Henryk Arctowski, znany podróżnik do bieguna południowego, dr. Władysław Szajnocha, profesor uniwersytetu Jagiellońskiego, Artur Berson, asystent stacyi balonów w Tegel pod Berlinem, Waleryan Leszczyński. słuchacz uniwersytetu

...owskiego, i ... zie...ski z Prus Zachod... wygłosił odczyt o swej podró...

* * *

Sensacyjny proces rozpoczął się przed sądem przysięgłych w Medyolanie, — proces przypominający wieki średnie lub wszechwładne panowanie „rady dziesięciu“ w starej Wenecyi. Właściwie sprawa ta powinna była toczyć się w Palermo, lecz ponieważ chodzi o zbrodnię popełnioną przez tajny związek sycylijski, znany pod nazwą „Mafii“, przeto władze sprawiedliwości uznały, iż należy sprawę wycofać z obrębu wpływów potężnego związku. W dniu 1-ym lutego r. 1893-go baron Notarbartolo, szlachcic palermitański, człowiek nieposzlakowanej zacności charakteru, zamordowany został w pociągu, którym wracał z dóbr swoich do Palermo; zwłoki, strasznie okaleczone sztyletem, wyrzucone z wagonu, znaleziono nad brzegiem rzeki Currera. Na razie przypuszczano, że zbrodnia została popełniona w celu rabunku, gdyż zwłoki barona były ograbione, zaaresztowano też kilku urzędników kolejowych, niebawem wszakże wypuszczono ich na wolność, gdyż nie zdołano im udowodnić winy. Z biegiem lat wszakże, zarówno wśród publiczności jak u władz zrodziło się i nabrało stopniowo pewności podejrzenie, że baron Notarbartolo został zamordowany z polecenia „Mafii“; dwa miesiące przed jego śmiercią rząd dowiedział się o nadużyciach i przekupstwie wśród urzędników banku Sycylijskiego i powierzył zbadanie tej sprawy znanemu ze spartańskiej prawości baronowi Notarbartolo, który był poprzednio kiedyś dyrektorem tej instytucyi oraz burmistrzem Palerma. W nadużycia bankowe wplątani byli wszakże wybitni członkowie „Mafii“ i za ich sprawą Notarbartolo został zamordowany. Zaaresztowano więc ponownie owych urzędników, z których jeden, Carollo, pochodzi ze znanej rodziny morderców, wszyscy zaś są członkami „Mafii“. Żaden z nich nic wyznać nie chce; powołano 200 świadków do tej sprawy. Syn zamordowanego, oficer marynarki, wskazał podczas rozpraw sądowych deputowanego Palerma Panizzollo, jako mordercę ojca, którego kazał zasztyletować przez płatnych zbirów. Panizzollo jest uznanym głową „Mafii“ i był już oskarżony o morderstwo; inni świadkowie potwierdzili słowa młodego Notarbartola i Panizzolla oraz kilku jeszcze wybitnych obywateli Palerma polecono zaaresztować. Proces ten budzi wszędzie żywe zajęcie. *...ski.*



Epizod z roku 1831.

Napisał *G. W.*, weteran i przyjaciel „Pracy.“

(Ciąg dalszy.)

A najprzód opiszę wam plac, gdzie się ta cała toczyła wyprawa:

Owóż to między miastami Grodnem, Suwałkami, i Augustowem, jest przestrzeń wielka, o puszcze granicząca, a i sama dość pusta, co się ciągnie po lewej stronie bitego gościnca Petersburgsko-Warszawskiego. A tym to samym ...em posuwała się armia rosyjska, dążąc ku Polsce i Warszawie. Zakątek ten sama przyroda usposobiła do partyzantki. Bo to wyobraźcie sobie środek tej przestrzeni całej, przecina kanał Augustowski, dalej idą liczne i wielkie jeziora, bagna niedostępne i chyba dla obznajomionego z niemi Poliszuka; dalej lasy obszerniejsze, nieprzebyte prawie, bo ledwie niepodobne do onego labiryntu starego, to co nas o nim w greckiej uczyli historyi; a wszystko to razem sięga do puszczy Białowiejskiej. Więc też były tam miejsca, zupełnie niedostępne, na które wedle potrzeby można się było przewieść znajomemi ścieżkami, i na wroga nieprzygotowanego zewsząd napadać, męczyć bez ustanku, i osłabiać bez końca.

Hej! hej!... żeby to byli rozumieli pierwsi przewódzcy powstania narodowego! Diabła by zjedli moskale, żeby się byli dostali do Korony. Byliby Litwini rozszarpali na sztuki, zanim by się który korpus dostał do Polski.

Lecz nie trzeba rozpamiętywać takiej przeszłości, bo człowiek gniewem a żółcią Pana Boga obraża, i przeklinać się uczy jakby furman jaki. Ile ja przez to w pierwszych latach koni znarowiłem, nim się przyzwyczaiłem do spokojniejszego rozpamiętywania, bo to bywało jak sobie przypomnę, ile to głupstw, Boże odpuść, narobiła nasza starszyzna, to biedne konisko podemną sam już nie wie, czego ja chcę od niego.

Koniec końców, na tej to przestrzeni odbył się jeden z tych tragicznych wypadków wojennych, o których historya nie wspomina, bo sam przez się nic nie stanowił, i w ogromie innych zdarzeń znikł wnet bez wieści. A był to przecie wypadek, który jak ja przypominam sobie, zgrozą napełnił wszystkie serca polskie, i dał miarę, czego nie zdoła uczynić carski sługa.

Z tego stanowiska wychodząc, dziwiłem się nieraz, że przez długie lata nikt o tym fakcie nie wspomniał, choćby kilku słowy, i ja dlatego właśnie chcę opisać zdarzenie to, aby podać do potomności czyn barbarzyński pułkownika rosyjskiego, byśmy wszyscy pamiętali, jak się to najezdcy obchodzili zawsze z naszym nieszczęśliwym narodem.

Mieszkał tam wówczas Szarkowski Kazimierz, nadleśny leśnictwa Balinka. Dzielny to był chłop, a Polak prawdziwy i serca walecznego. Był zaś dawniej oficerem wojsk polskich za Ks. Warszawskiego, więc była już w nim dusza wojacka, ile że zapamiętał one czasy bohaterskie, co to dziś jeszcze słuchać o nich aż się dusza raduje.

Dosyć tedy, że mój Szarkowski nie mógł siedzieć spokojnie, bo go djable do wojaczki parło. Zwołał okoliczną straż leśną, ogłosił poprostu powstanie, i dobrze zrobił, bo djabli by się tam oglądali w takim razie. Stanął tedy na czele tego powstania, i pragnął dusznie działanie swe przenieść na drugą stronę rzeki Niemna, w głąb Litwy.

Powstanie to mogło uczynić niepospolitą dywersyę, a nawet stać się zgubnem dla armii rosyjskiej, gdyby mu w pomoc nadciągnął jakikolwiek oddzialik, choćby najmniejszy, regularnego wojska polskiego.

Stawszy się panem głównego traktu Petersbursko-Warszawskiego ... działać to z flanku ... syjskich, a sięgając równ... men, podałoby rękę p... skiemu. Tożby to bigos... w moskiewskich szereg... inaczej się stało. Inacz... trzność. Snać nie dosy... my byli jeszcze!... Ale ... dalibóg że przyjdzie ... wiarusowi.

Szarkowskiego tedy ... się z niespełna czterdzi... to po większej części ... nieświadoma rzeczy woje... jona, przytem zapalon... i na Polaków przystało, ... sza, nie znająca subor... choć to przykro w... u nas.

Z tym tedy oddz... obrał sobie za oś dzia... Augustowki, i na prz... Augustowa aż do rze... sobie siedzibę nadzwycza... ku lasów, na wprost osad... chcąc dłużej czekać możes... śnie rozpoczął swe dzia... czy tem nie przyspieszył... Ale dobrze to dziś mówi... W jego skórze i w onyc... czej się rzeczy wydawały...

W osadzie Paniewo, ... znajduje się piękna szluza ... kanale, i tamże mieszkało ... trudniących się głównie ha... ralnie stali od nas niżej, ... też wiele dałoby się o te... Do ich upodlenia przyk... więcej sami Moskale, ... z ich, przywiązania ... a i to przywiązanie ... się wyda, gdy sobie ... pamięć, że oddzieleni ... nemi i cudzemi od drug... nia innego mieć nie m... mniej pewnie nie do spo... re nimi pogardzało i ich... skale jako sza... zawsze rublami w tę i ... i nieraz udawało się i... na swą stronę, i obróc...

My też Bogiem a ... pamiętni na jutro, n... z nimi obchodzili ogl... stosunki z nami, mie... sprawy najtajemniejsz... ich używaliśmy, poniża... naszych własnych na... niały ich na usługi Mos... zwyczajeni do niecny... gostwa, naprzeciw nam...

I żydzi dawali się ... używać nieraz do teg... dliwość nakazuje mi... wówczas jeszcze zn... bardzo zacnych i pra... wet szczerze życzliwy...

Co się tyczy żydów ... niewa mieszkających, t... wody, które ich na nie... drogi.

Byli to, jak mówiliśm... Wykupywali bo najz... do budowania okrętów... kanałem Augustowskim ... do morza Bałtyckiego.

Ztąd pochodziły m... z kupcami niemieckim... sakami.

Tu się muszę wstrzymać, abym nie wpadł na inny przedmiot, bo już to przyznam się do tej słabości, że jak tylko mowa o Prusakach, to ja się zaraz zaciekam nad myślą, czem też oni są właściwie pomiędzy innemi narodami. Bo to między narodami jak i między rodzajami zwierząt, są takie rodzaje, że istotnie szkoda niemi się zajmować. — A ta jak wy tam ją nazywacie — ta Nemezys historyczna, ta już rozstrzygnie sama między nami a tymi... Prusakami!..

(Ciąg dalszy nastąpi.)



Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy!

Wołał Wasilewski, pełen zacnej sławy:
Na Wawel, na Wawel, krakowiaku żwawy,
Ale gdyby teraz poszedł w święte mury,
Jużby do nich nie chciał zajrzeć po raz wtóry,
Boby jego serce boleśnie zadrgało,
Widząc co się stało z naszą dawną chwałą.
W pokojach królewskich żołdactwo się roi,
Gdzie stał husarz polski, tam feldwebel stoi;
Kędy słychać było głosy polskiej szlachty
Tam słychać *gweraus!* i różne *habachty.*
W komnatach, gdzie spała królowa Jadwiga,
Pan gefreiter z rana z pryczy się podźwiga.
Krużganki, po których szły Zygmuntów stopy,
Marmurowe oddrzwia i rzeźbione stropy,
Ściany złotogłowiem lśniące i szkarłatem,
Słowem, co królewskim tchnęło majestatem —
Znikło, lub zniszczone resztkami już goni,
Prosząc o ratunek z jakiejkolwiek dłoni.

* * *

Wawelu, Wawelu, nie płacz nad swym losem,
Choć dla ciebie bogacz nie pobrzęknie trzosem,
Na twe zmartwychwstanie ubodzy się złożą,
Co ufają silnie w sprawiedliwość Bożą.
Oni wierzą szczerze, że Ten co się rodzi
Ich biedną Ojczyznę z więzów wyswobodzi,
Że po wielu mękach i cierpieniach wielu,
Zabrzmią tryumfalnie dzwony na Wawelu.
Tłum w starej katedrze schyli swoje głowy,
A potem zalegnie dziedziniec zamkowy
I mieszkańców jego okrzykiem powita:
„Wiwat król jegomość i rzeczpospolita!“

15. 12. 99. *Dib.*



Wina i pokuta.

Tłomaczyła z francuzkiego
M. P.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ XXI.

Stan Henryka nie zmienił się wcale. Poznawał widocznie wszystkich, nie mógł jednak ani mówić, ani się ruszać. Gdy Alfred nazajutrz rano wszedł do jego pokoju, zwróciły się oczy chorego z wyrazem takiego przerażenia na niego, że nędznik zadrżał mimowoli.

Helena wiedziała bardzo dobrze, że skoro Henryk odzyska mowę, to Alfred i ona będą zgubieni, pomimo to nie odstępowała ani na chwilę brata. Nie wątpiła, że Alfred użyje wszelkich sposobów, aby w danym razie przeszkodzić Henrykowi w wypowiedzeniu ciężkiego oskarżenia, i dlatego postanowiła bronić Henryka, chociażby kosztem własnego życia.

Około południa zgromadzili się wszyscy przy chorym. Alicya upadała z znużenia po całonocnem czuwaniu, Julka także — jedna tylko Helena oświadczyła, że nie czuje się wcale zmęczoną.

— Ależ to niemożliwe, — zawołał Alfred. — Wyglądasz tak blado i mizernie, że musisz teraz wypocząć. Ja cię zastąpię na kilka godzin!

Gordon spojrzał przenikliwie na niego, jak gdyby odgadł najtajniejsze jego myśli, ale i Henryk usłyszał te słowa i straszny jęk dobył się z jego piersi. Chcąc go uspokoić, rzekł Gordon głośno:

— Pacyent nasz nie powinien zostawać sam, trzeba więc urządzić tak, aby zawsze dwie osoby przy nim czuwały. Pan Leon i pani hrabina będą się zmieniać ze mną i z panną Julią, a w nocy zaś pan Fryderyk z panną Heleną mogą nas zastąpić.

Helena pochyliła głową na znak zgody, uszczęśliwiona, że brat jej znalazł nowego opiekuna w osobie Gordona. I tak minęły dwa dni. Trzeciego dnia oświadczył doktor, że ma nadzieję wyleczenia hrabiego, jeżeli nie zajdą jakie nowe, nieprzewidziane komplikacye.

— Myślę, — rzekł z serdecznym uśmiechem do Alicyi, że mąż pani podziękuje wkrótce za troskliwe pielęgnowanie i opiekę, jaką go otaczasz, a jeżeli zastosuje się w wszystkiem do moich rad i przepisów, to z pomocą Boga wyleczę go zupełnie.

Helena zbladła — ale była gotową na wszelką ofiarę.

Alfred zachował się spokojnie, słowa Gordona ucieszyły go nawet bardzo na pozór. W rzeczywistości zaś uczuł strach śmiertelny, kilka bowiem dni tylko dzieliło go od chwili, w której zbrodnia jego miała wyjść na jaw.

Tego wieczora odetchnęli wszyscy w zamku swobodniej. Alicya uszczęśliwiona nadzieją wyzdrowienia męża, odzyskała wrodzoną sobie wesołość, i zatrzymała na obiedzie Karola Labarta, i Alfreda.

Około ósmej udał się Gordon do pokoju chorego. Henryk spał spokojnie, chwilowo nie potrzebował więc nikt przy nim czuwać. Gdy wychodził, ujrzał Alicyą w przyległym salonie.

— Nie budź pani męża, — rzekł. — Hrabia śpi, a sen najlepszem jest dla niego lekarstwem. Nie spał nigdy jeszcze tak mocno, i to cieszy mnie niezmiernie.

Równocześnie wybrał się Alfred z powrotem do domu. Pomimo dokuczliwego zimna nie chciał, aby go odsyłano powozem, twierdząc, że woli iść pieszo. Ale zaledwie wyszedł na dziedziniec, stanął i zaczekał kilka minut, nasłuchając uważnie. Całe towarzystwo było jeszcze zgromadzonem w salonie, służba zaś znajdowała się obecnie na kolacyi w suterynach. W sieni i na dziedzińcu nie było nikogo, otworzył więc ostrożnie drzwi, i wsunął się napowrót do przedsionka. Gdyby go tu kto spotkał, byłby powiedział, że zimno zmusiło go do powrotu, ale nikt go nie widział. Wiedziony instynktem, zwrócił się na pierwsze piętro — ponieważ tu jednak, z powodu choroby hrabiego przechodziło zawsze wiele osób, przeto, nie chcąc się narażać na spotkanie kogo, udał się na drugie piętro, i otworzywszy pierwsze lepsze drzwi, znalazł się w jakimś niezamieszkałym pokoju. Tutaj też pozostał. Co jednakże zamierzał uczynić? Przedewszystkiem postanowił czekać, licząc na szczęśliwy przypadek. Nikt mu tu nie przeszkodzi, o tem wiedział napewno, całe bowiem drugie piętro stało próżnem, i chyba służba przychodziła raz po raz, aby ścierać kurz z mebli.

Pokój ten był zresztą wybornym punktem obserwacyjnym. Widział ztąd i słyszał wszystko, co się działo na dole i na pierwszem piętrze, zauważył więc wkrótce, że Alicya udała się na spoczynek do swej sypialni, i że Helena weszła do pokoju chorego, aby przy nim czuwać. Leon i Gordon poszli tam także, ale potem zaraz wrócili do salonu, Helena była więc sama! Pomimo to musiał jeszcze czekać, wiedział bowiem, gdyby teraz wszedł niespodziewanie, to Helena wołała by bezwarunkowo o pomoc. Po upływie kilku minut usłyszał głos Karola, wysunął się zatem na schody, i pochylony nad poręczą, zatrzymując oddech, słuchał uważnie. Zaraz potem ukazała się Helena.

— Henryk śpi! — szepnęła cicho.

Karol podał jej ramię, poczem oboje zaczęli się przechadzać po długim korytarzu, rozmawiając żywo. Drzwi do pokoju Henryka były uchylone, ile razy przeszli obok nich, zaglądała Helena, aby się przekonać, czy brat jeszcze się nie obudził.

— Teraz, albo nigdy, — pomyślał Alfred.

Była to odwaga, granicząca z szaleństwem, liczył jednak na to, że zakochani, zajęci sobą, nie będą na niego zważać, i na tem opierał cały swój plan.

Chodziło o to, że chcąc się dostać do pokoju chorego, musiał niepostrzeżenie zejść ze schodów i przebyć korytarz, a jedno i drugie było nieomal niepodobieństwem. Ale na schodach drugiego piętra panowała zupełna ciemność, szedł więc tyle stopni, ile mógł, tak aby go ani Helena, ani Karol nie zobaczyli. Na ostatnim stopniu zatrzymał się i czekał, dopóki znowu nie przejdą.

Helena spojrzała i tym razem przez otwarte drzwi do brata.

— Śpi! — szepnęła z uśmiechem do Karola. Oboje poszli dalej.

Była to stanowcza chwila!

Jak cień zesunął się Alfred z schodów i jednym skokiem stanął w pokoju Henryka, a ponieważ obawiał się, że Helena może wejść niespodzianie, przeto ukrył się za ciężką portyerę. Tak minęło kilka sekund.

Młoda dziewczyna zaglądа znowu, oczy jej spoczywają na twarzy chorego, który śpi spokojnie. Potem głowa jej znikła, Alfred zaś stoi ciągle jeszcze za portyerą i czeka niecierpliwie.

W tej chwili porusza się chory, a morderca drży ze strachu. Jeżeli Hen-

ryk obudzi się i spostrzeże go, to przerażenie może dodać mu tyle siły, że zawoła o pomoc, a wtedy.....

Henryk otwiera oczy i patrzy zdumiony w około. Nigdy nie zastawiano go samego! Jeżeli Helena teraz przyjdzie, to zobaczy, że się obudził, i zostanie przy nim.

Szybki, jak błyskawica, odsuwa Alfred portyerę i zbliża się do łóżka chorego, który go poznaje, bo oczy jego przybierają wyraz śmiertelnej trwogi. W następnej sekundzie porywa morderca poduszkę i przyciska ją z całej siły na twarz nieszczęśliwego. Jedno konwulsyjne drgnienie — Henryk nie żyje! Wszakże tak mało było potrzeba, aby zniszczyć to słabe życie.

Alfred rzuca poduszkę i ukrywa się znowu za portyerę. Twarz jego zaledwie jest trochę bledszą, niż zwykle, a serce nie uderza mocniej.

Po chwili wsuwa się głowa Heleny i znika zaraz.

— Henryk zawsze jeszcze śpi — mówi młoda dziewczyna do ukochanego.

Teraz jednak pozostaje Alfredowi najtrudniejsza część jego zadania, to jest, opuszczenie pokoju i powrót na schody. Musi drogę tę odbyć po raz drugi i wejść znowu na drugie piętro. Poprzednio mógł by jeszcze wytłómaczyć swoją obecność w zamku, ale gdyby go teraz kto spostrzegł, to nie wiedziałby rzeczywiście, co powiedzieć. Czy trup Henryka nie świadczyłby przeciwko niemu? Czeka więc jeszcze za portyerą, i pomimo swej szalonej odwagi nie śmie ruszyć się z miejsca.

Ale minuty upływają — czas nagli, każda chwila zwłoki może go zgubić.

I słyszy teraz, że Karol żegna się z Heleną. Oboje zakochani stoją w głębi korytarza, obróceni plecami do niego, i zajęci sobą nie zważają na nic, co się za nimi dzieje. Alfred korzysta z tego — schyla się z zręcznością kota, przeskakuje korytarz i wbiega na schody. Jeden z stopni trzeszczy lekko pod ciężarem jego ciała, ale ani Karol ani Helena nie słyszą tego. W tej jednej sekundzie wszakże czuje Alfred, że zimny pot występuje mu na czoło i gwałtowny dreszcz wstrząsa jego członki. Zdaje mu się, że jest straconym.

— W około głęboka jednak panuje cisza. Karol przyciska do ust ręce ukochanej, poczem odchodzi — Helena zaś wraca do pokoju brata. Ale Alfred znajduje się już w bezpieczeństwie.

Najchętniej chciałby natychmiast opuścić zamek, musi bowiem wyzyskać czas aż do chwili, w której odkryją śmierć Henryka. Gdyby mógł teraz wyjść ztąd niepostrzeżenie i wrócić do domu, to nikt w świecie nie podejrzywał by go o popełnienie tej zbrodni. Żaden świadek nie mógłby świadczyć przeciwko niemu! Z drugiej zaś strony nie narażał się na żadne niebezpieczeństwo, pozostawając tutaj aż do jutra — więc też postanowił nocować w owym pokoju i czekać do następnego rana. W ogólnem zamieszaniu, jakie wywoła śmierć hrabiego, będzie mógł łatwo wyjść ztąd i ukazać się na dole.

Zamknąwszy zatem drzwi, włożył klucz do kieszeni, i położył się wygodnie.

Po rozstaniu się z Karolem usiadła Helena przy małym stoliku, na którym stojąca, przyciemniona lampa, słabe rzucała światło na śpiącego. Młoda dziewczyna wiedziała, że o północy przyjdzie Julka lub Alicya, aby ją zastąpić, czekała więc cierpliwie, chociaż ledwie oczy mogła otworzyć z znużenia. Ale długi sen brata zaczął ją w końcu niepokoić. Wstała więc i zbliżywszy się ostrożnie do łóżka, spojrzała na twarz Henryka, i teraz dopiero spostrzegła straszną zmianę, jaka z nim zaszła. Rysy jego okropnie były wykrzywione, jakby w śmiertelnym strachu, szeroko otwarte oczy stały słupem, a na ustach znajdowało się kilka kropli krwi.

— Henryku! — krzyknęła przerażona, pochylając się nad nim.

Hrabia nie ruszył się. Wtedy dotknęła jego czoła i poznała, że nie żyje.

— Umarł! — jękła — i ja go zabiłam!

Na wpół przytomna, powlokła się do dzwonka, a kilka minut później wiedzieli już wszyscy co zaszło,

Z głośnym okrzykiem rozpaczy rzuciła się Alicya na zwłoki ukochanego męża, którego miłość jej od śmierci jednak ocalić nie mogła.

Wśród ogólnego zamieszania, jakie zawsze śmierć w domu wywołuje, zachował jeden tylko Leon całą przytomność umysłu. Przedewszystkiem prosił stryja Fritza, aby pojechał po Gordona, bo może Henryk popadł tylko w ciężkie zemdlenie, jak to się nieraz już zdarzało.

— I wstąp do Beuron, stryju, — dodał mimowoli, — i powiedz Alfredowi o tem, co się stało.

Alfred tymczasem słyszał nieomal wszystko, nie śmiał jednak jeszcze opuścić swej bezpiecznej kryjówki. Ostrożność, jaką zachował, oraz szczęście, jakie mu sprzyjało, chroniło go od wszelkiego podejrzenia, był więc zupełnie spokojnym. Gdy słyszał, że pan Fryderyk ma jechać po Gordona, uśmiechnął się lekceważąco, doktora nie obawiał się teraz wcale.

Po upływie godziny przybył Gordon i skonstatował śmierć hrabiego. Wszyscy zgromadzeni zaczęli płakać, jedna tylko Helena stała z suchemi oczami, szalona rozpacz miotała jej duszą, ale łez już jej nie starczyło.

Gordon tymczasem uprzytomniał sobie wszystko, co w ostatnim czasie zauważył. Wszakże Henryk znajdował się od dwóch dni na drodze wyzdrowienia, niebezpieczeństwo minęło szczęśliwie i była nawet nadzieja zupełnego wyleczenia, zkądże więc ta śmierć nagła i nieprzewidziana?

— O której godzinie odkryto śmierć hrabiego? — zapytał.

— Około północy.

— Kto o tym czasie znajdował się w jego pokoju?

— Hrabianka Albernon.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Od Redakcyi.

Na konkurs gwiazdkowy i noworoczny, rozpisany przez nas, nadesłano nam bardzo wielką liczbę nowel i nowelek wierszem i prozą, a autorami ich czytelnicy i nadobne czytelniczki naszego pisma w Księztwie, Prusach Zachodnich, Wschodnich, na Górnym Ślązku, w Galicyi i na obczyźnie mieszkający. Wyrażamy niniejszem radość swoją z tego, że konkurs przez nas rozpisany obudził tak ogólne zajęcie się i zainteresowanie; dowodzi to, jak wiele wśród nas znajduje się ludzi o mniej lub więcej wybitnym talencie literackim, dla których tylko sposobności potrzeba, aby siły swoje zmierzyć mogli w tak szlachetnym turnieju; dowodzi to także serdecznej życzliwości, jaką szerokie koła czytelników darzą pismo nasze. Życzliwość ta i uznanie, jakieśmy w najróżniejszych sferach znaleźli, będzie nam bodźcem na dalszej drodze w uciążliwej pracy.

Redakcya sama nie chce decydywnie rozstrzygać o wyniku konkursu i nagrody rozdzielać na własnym wyłącznie opierając się sądzie; zależy nam na tem, aby i wśród czytającej publiczności wyrabiał się sąd, zaostrzała się krytyka w rzeczach literackich i dlatego obraliśmy drogę pośrednią.

Z nadesłanych nam prac i płodów literackich wybraliśmy te, które mogą rościć sobie prawo do nagrody i w trzech najbliższych numerach „Pracy“ (niniejszym poczynając) umieścimy i oddamy Szanownym Czytelnikom pod ocenę.

Wzywamy przeto wszystkich nam życzliwych do przeczytania nowelek tych i wierszy, osądzenia i do nadesłania nam sądu swego jako i głosu, komu przeznaczyć nagrodę pierwszą, komu drugą, komu trzecią i t. d.*)

Druk tych nowelek konkursowych ukończymy w numerze, który wyjdzie na święto Trzech Króli; prosimy, aby głosy we własnoręczne podpisy oddających je zaopatrzone, przesłane nam zostały do dnia 15 stycznia 1900; poczem ogłosimy wynik głosowania.

*) Nagród wyznaczonych jest sześć i to: pierwsza 50 mk., druga 30 mk., dwie po 20 mk. i wreszcie dwie po 10 mk. Przyp. Redakcyi.

Nasze illustracye.

„A Słowo ciałem się stało...“ Oto gdzieś na przystani w Rio Janeiro, skuszony fałszywemi wieściami o krainie złota i brylantów, usiadł wieśniak przybyły z za morza, głowę podparł i duma w wieczór wigilijny, samotny, zawiedziony o tych, których w dalekiej chacie pozostawił, a którzy dzisiaj łamią się opłatkiem bez niego. Przez morze przepłynąć mu nie łatwo z powrotem, więc tylko myśli szybują w tę stronę, a wiatr na linach żaglowych zdaje się wygrywać kolędę i budzić jeszcze większy żal i większą jeszcze skruchę w duszy wieśniaka, że tak nieopatrznie dał się namówić do szukania szczęścia na obczyźnie. Z talentem niepospolitego artysty potrafił nasz poeta-rysownik, Piotr Stachiewicz, myśl tę uwydatnić w swoim rysunku, który pomieszczamy na stronie 1331-ej.



Do naszych Czytelników!

Obym też kiedyś dożył tej pociechy,
Aby księgi te zbłądziły pod strzechy!
Mickiewicz.

Kilka miesięcy ciężkiej, zmudnej, reorganizacyjnej pracy leży już za nami. Pozostać najpoczytniejszym tygodnikiem beletrystyczno-naukowym i być zarazem czasopismem illustrowanem, rozszerzyć łamy pisma, podwoić liczbę korespondentów, wprowadzić do redakcyi świeże siły literackie, nadać „Pracy“ specyalny charakter, puścić w ruch nowe maszyny i motory, zorganizować służbę dzienną i nocną a czynić to wszystko w pospiechu nerwowym wśród gorączkowej pracy z numeru na numer, to jeden z takich wysiłków, o których czytelnik, otrzymujący pismo już gotowe, może nie pomyśli nawet, ale który olbrzymim ciężarem przygniatał przez długie tygodnie i miesiące barki wydawnictwa.

Dziś, z pewnem uczuciem zadowolenia i uprawnionej dumy spoglądamy na dzieło dokonane. Za jednem naciśnięciem guzika idą od razu 4 pospieszne machiny w bieg, pędzone siłą elektryczną, koła obracają się lotem błyskawicy, kółka już się nie haczą, tryby funkcyonują prawidłowo.

Lękaliśmy się zrazu przedsięwziętego dzieła!

Dziś jednakowoż spokój i pewność siebie rośnie we wzmagającem się z dnia na dzień licznem gronie czytelników naszych, które obecnie **przekroczyło potężną liczbę 10,000!**

Niech każdy pracuje, jak może, my ufamy własnej działalności i energii, która pozwoliła nam dokonać trudnego dzieła reformy i do dalszej pracy rozwojowej krzepi ramię nasze.

Otucha ta opiera się oczywiście na szczęśliwie dokonanej organizacyi sił redakcyjnych i środków technicznych, niemniej też i na życzliwem i gorącem poparciu Szanownych Czytelników.

Naczelny kierownik „Pracy Illustrowanej“, Marcin Biedermann, nie poprzestał na zachowaniu pismu dawnych, rutynowanych sił dziennikarskich, lecz rozszerzył i odmłodził szeregi współpracowników.

Tak więc przestępujemy Rubikon noworoczny z tem przekonaniem, że uczyniliśmy wszystko, aby zaskarbić sobie względy Czytelników naszych.

Jesteśmy nietylko najpoczytniejszem pismem, lecz zarazem

albumem chwili

bieżącej, ulepszyliśmy technikę rycin naszych do tego stopnia, że illustracyi nieudanych dziś już na łamach „Pracy“ nie ma wcale, nie szczędzimy kosztów na zwiększone numery, gdy tego obfitość materyału wymaga, dostarczamy najróżnorodniejszych informacyi ze wszystkich zakątków kraju, słowem, spełniamy nasz obowiązek dziennikarski tak, że z podniesionem czołem stajemy na schyłku trzeciego roku naszego wydawnictwa, spoglądając z dumą i zadowoleniem na trud przebyty i dzieło dokonane.

A podnietą do dalszej pracy nad udoskonaleniem pisma naszego są nam objawy żywej sympatyi, które z wszystkich stron napływają do redakcyi naszej.

Bóg zapłać wszystkim przyjaciołom za dobre słowo. Stoimy na dawnym posterunku i nie opuścimy go nigdy, cokolwiek przyniesćby miała mętna fala życia:

Od serca do serca, od duszy do duszy
Niech płynie myśl zdrowa i słowo uczciwe,
A jeśli i serce i umysł poruszy,
Gdy padną wraz z niemi na rodzinną niwę
Miłości i wiary rozsiewane ziarna —
Zadanie spełnione, a praca nie marna!

* * *

Redakcya „Pracy Illustrowanej“ postarała się również, aby mianowicie dział powieściowy (**od Nowego Roku znacznie powiększony**) zawierał utwory pierwszorzędnych autorów i dziś już posiada w tece kilka pięknych i **niezmiernie zajmujących powieści** a mianowicie:

Krwawy chrzest,

powieść z czasów ostatniego powstania przez J. Dzierzkowskiego.

Treść powieści, osnuta na tle krwawych wysiłków narodu naszego, gdzie syn chłopa i dziecię senatorskie złączeni jednem uczuciem — walczyli za wiarę i wolność.

Powieść ta, której treść już sama za siebie przemawia — jest tak interesującą, że trudno się od niej oderwać.

Równocześnie drukować będziemy wielce ciekawą powieść pod tytułem

Pod maską,

przekład z angielskiego przez L. B.

Jest to powieść salonowa, pełna rozmaitych zawikłań i nader ciekawa.

Tęsknota za dzieckiem i szczęściem straconem, oto momenta wypowiedziane z taką szczerością i prawdą, że niejedną czytelniczkę do łez poruszą.

Dalej przyjdzie do druku sensacyjna powieść pod tytułem:

Sąd Boży,

przekład z francuzkiego przez B. W.

Powieść ta zajmie uwagę każdego czytelnika od początku do końca. Miłość i zbrodnia walczą z sobą, jedno za wyjaśnieniem prawdy, drugie, by takową ukryć w pomroce czasu.

Wreszcie przyjdzie też jeszcze w druk bardzo interesująca powieść pod tytułem

Nihiliści,

przekład z angielskiego przez L. D.

Rzecz dzieje się początkowo w Londynie a kończy się na dzikich stepach lodowatej Syberyi.

Nihiliści, ich tajemnicza działalność, deportacya na Sybir, pełna grozy i rozpaczy — to chwile, które czytelnik na długo zatrzyma w pamięci.

Byłoby też zbytecznem zapewnienie, że powieść tę każdy czytelnik z wzrastającem po każdym rozdziale zaciekawieniem i z nerwową niecierpliwością czytać będzie.

* * *

Z cyklu nowelek pojawią się pomiędzy innemi w „Pracy“ **Hajduk Sławko,** junak bułgarski, **Iwan Czajko,** watażka ukraiński, **Tajemnica Moskwy** (zabójstwo cara Piotra) fakt historyczny, **Kozak Polak,** wspomnienie z Syberyi, **Z niewoli tatarskiej,** opowiadanie powstańca, **Notatki z życia,**

zapiski weterana, **Szczygieł**, majster szewski, konfederat, **Hadżi Achil**, basza turecki, **Straszny dwór** z horwackiego i t. d. i t. d.

Z początkiem nowego kwartału zamieszczać będziemy stale w każdym numerze dwie powieści i 1 do 2 nowelek.

* * *

Dział poezyi

przeważnie narodowych, nadających się szczególnie

do deklamacyi

na uroczystościach i obchodach narodowych — urozmaicać będzie w większej aniżeli dotychczas mierze bogatą treść „Pracy".

* * *

W dziale illustrowanym

umieszczać będziemy arcydzieła sztuki polskiej malarzy współczesnych z objaśniającym tekstem jak n. p:

1. „Polonia" sławny obraz Styki, jednego z największych malarzy polskich.
2. „Pod Dubienką" Ajdukiewicza.
3. „Podziękowanie wodza."
4. „Straż nad grobem Kościuszki"
5. „Kolumna pamiątkowa" w zamku Repperswylskim.
6. „Zamek Rapperswyl."
7. „Błogosławieństwo kosynierów."
8. Rozstrzelanie na stoku cytadeli Warszawskiej" i t. d. i t. d.

* * *

Portrety sławnych mężów polskich.

Kiliński i widok Warszawy

Książe Adam Czartoryski

Książe Józef Poniatowski

Jenerał Mokronowski.

Jenerałowie: Madaliński, Wodzicki, Zajączek, Ignacy hr. Potocki, ksiądz Hugo Kołłątaj, Chłopicki, Dąmbrowski, Dwernicki i wielu innych.

Malarzy:

Matejko, Stachewicz, Fałat, Brandt, Kossak, Ajdukiewicz, Wierusz-Kowalski, Styka i t. d. oraz

wybitnych pisarzy i poetów polskich,

a zawsze z objaśniającym tekstem czyli życiorysem i t. d. i t. d.

Przemysłowcy baczność!

Jako nowość dla wielu nader pożądaną wprowadzamy w tekscie i dziale illustracyjnym

Ryciny i artykuły

dotyczące

sztuki stosowanej w rzemiosłach.

Ponieważ sztuka stosowana weszła obecnie na tory artystyczne i stanowi samodzielną gałąź twórczości, zatrudniającą wybitne talenty europejskie, „Praca" pragnąc zapoznać Czytelników swoich z obecnym jej stanem, da reprodukcye **wybitniejszych modeli** z dziedziny ***ceramiki, szklarstwa, jubilerstwa, stolarstwa, tapicerstwa*** artystycznego i t. d. uzupełniając illustracye krótkiemi objaśnieniami, dokonanemi przez specyalistów, wskutek czego każdy numer „Pracy" przedstawiać będzie nieocenioną wartość dla każdego przemysłowca.

Z dziedziny prawa

przez wybitnego jurystę

zamieścimy szereg artykułów nowego prawa, napisanych barwnie, jasno i popularnie, tak, aby każdy zrozumiał i czytał z zajęciem.

Dzisiejszy numer gwiazdkowy „Pracy" jest ostatnim w bieżącym kwartale, więc

czas największy zapisać

„PRACĘ"

na nowy kwartał.

W obrębie państwa niemieckiego jest *każda poczta i każdy listowy tak na wsi jak i w mieście zobowiązany* do przyjęcia abonamentu, który wynosi na kwartał

tylko 1 markę.

Uwaga! Przy zamówieniu na poczcie winien każdy wyraźnie zaznaczyć, że pragnie zaabonować „Pracę" z Poznania.

☞ **Już noworoczny numer „Pracy", pięknie illustrowany i nadzwyczaj obfity w doborową treść, przeniesie wartość abonamentu.**

Szanownych Czytelników

☞ w Galicyi ☜

i wogóle w Austro-Węgrzech prosimy uprzejmie o łaskawe spieszne nadesłanie abonamentu na nowy kwartał w ilości

1 złr.

wprost do Administracyi „Pracy", albo też o zaprenumerowanie naszego pisma na tamtejszej poczcie, w którym to razie abonament uczyni

tylko 72 centy,

zaś *już z odnoszeniem do domu*

tylko 80 centów.

Dla Czytelników w Galicyi dołączaczamy do dzisiejszego numeru osobne karty, na które zwracamy ich baczną uwagę.

Kto wcześnie i to natychmiast „Pracy" nie zapisze, ten już nie otrzyma numeru noworocznego!

Drobne inseraty przyjmujemy tylko za opłatą należytości z góry.

Numery okazowe wysyłamy na życzenie każdemu bezpłatnie.

Hekate! Karty korespondencyjne z powinszowaniem „Nowego Roku" i z ryciną „Hekaty" dołączamy do dzisiejszego numeru „Pracy" z uprzejmą prośbą, aby Szanowni Czytelnicy korzystny z nich zrobili użytek w sprawie popierania i rozszerzania „Pracy", mianowicie prosimy karty te wysyłać do krewnych, znajomych i przyjaciół.

Kto tylko zażąda odnośnych kart „z powinszowaniem Nowego Roku" otrzyma takowe w każdej ilości i to natychmiast bezpłatnie.

Wiadomości.

Wesołych świąt życzymy Najprzewielebniejszemu Księdzu Arcybiskupowi, Czcigodnemu Duchowieństwu, Szanownym Ziemianom, Mieszczanom i Kmiotkom — Szanownym Współpracownikom, Czytelnikom, Zwolennikom i Przyjaciołom „Pracy", oraz wszystkim Rodakom i najbliższym i najdalszym i tu nad Wartą i tam nad Wisłą i nad Niemnem i wychódźcom na obczyźnie.

Przyjmijcie wszyscy od nas bratni uścisk — pozdrowienie i serdeczne staropolskie życzenie: *Dosiego roku!*

Redakcya.

Rewizyą z polecenia prokuratoryi odbył w dniu 18-go bm. w biurach redakcyi i administracyi naszego tygodnika, inspektor policyjny p. Portasiewicz, poszukując bezskutecznie nr. 33 „Pracy" z roku bieżącego.

Gwiazdkowy numer „Pracy" kosztuje 50 fenygów — z franko przesyłką 60 fenygów.

Wskutek nawału materyału gwiazdkowego odłożyć musieliśmy do noworocznego numeru i następnych sprawozdanie z teatru, szaradę i rozwiązanie zagadki, odpowiedzi od redakcyi, korespondencye od naszych przyjaciół i t. d. i t. d.

Wszelkie instrumenta muzyczne poleca w wielkim wyborze po cenach tanich i rzetelnych p. F. Niewczyk w Poznaniu przy ulicy Berlińskiej nr. 19 — fabryka instrumentów muzycznych, uwieńczona nagrodami na wystawach przemysłowych. Bliższe szczegóły podane są w odnośnym inseracie, na który baczną uwagę Czytelnikom naszym zwracamy.

Pan A. Ziętek, kupiec-fachowiec, z długoletnią praktyką w pierwszorzędnych interesach, otworzył w Koronowie w Poznańskiem (Crone a. d. Brahe) przy rynku skład sukna, bławatów, płócien i bielizny, zaopatrzywszy go obficie w doborowy, pierwszorzędny towar, który poleca po cenach rzetelnych, niskich, ale stałych. „Szczęść Boże" rodakowi!

W Zblewie w rusach Zachodnich powstała Spółka kupiecka, której zadaniem zakładanie składów polskich. Szczęść Boże!" Vivat sequens!

HUMORYSTYKA.

Hania. Krakowiak.

(Nadesłane na konkurs „Pracy.“)

Panieneczka Hania ma miękkie serduszko,
Duszę jak gołąbek, buzię jak jabłuszko.
„O jasna panienkǫ, Frąckowa zawodzi,
Zle się na tym świecie mnie biednej powodzi.“

„A to mi powiedzcie — Hania zapytuje —
Jakież to nieszczęście was znowu marnuje?“
„O jasna panienko, źle mnie biednej wdowie
„Wczoraj była zdrowa - dzisiaj już po krowie.

„Po krowie już mojej, co mleczko doiła
„I dzieciska moje od dawna żywiła.
„Co ja tera pocznę, ja biedna i stara,
„O mój Jezusinku, za cóż taka kara!

„A kwitków od perek mam ci ja niewiele,
„Niechże handlarz weźmie i malutkie ciele.
„Zawdy mi brakuje talarów trzydzieście,
„By se krówkę kupić na jarmarku w mieście.“

* * *

Hania smutna wraca ze sadu do dwora,
Bo smutek Frąckowej dusi ją jak zmora.
„Talarków srebrzystych dałabym ja, dała, —
„Gdybym tych talarków sama kilka miała.“

I skąd wziąść talarków, Hania medytuje,
Gdy wtem numer „Pracy“ w rączki jej wpaduje;
Ogląda i czyta, Hanusia poczciwa,
Ogląda i czyta i radość jej żywa.

Duma sobie, duma, natęża myślątka,
Szuka, szuka wierszy i rymów i wątka,
By zarobić w „Pracy“ głoszoną nagrodę
I obdarzyć hojnie Frąckowej zagrodę.

Artykułu wprawdzie zaczepić się boi,
Bo to dla panienek jeszcze nie przystoi.
Niech będzie nowelka, albo też wierszyki,
Niechajże fantazya składa rymów szyki!

„Znam ja przecie Poznań, prastarą stolicę,
„Katedrę i ratusz i Młyńską ulicę.
„Spędziłam raz lato — widać mi po minie,
„Daleko, daleko w Tatrzańskiej krainie.

„Byłam też w Krakowie, wiem coś o Popielu,
„Znam więc świata kawał i chłopczyków wielu,
„Kilku bardzo grzecznych, jednego hultaja,
„Com go nie widziała, ach! pewnie od maja.

„Więc zasiądę pilnie o wieczornej porze,
„Może mojej pracy Pan Bóg dopomoże;
„Frąckowej pocieszę serce zatroskane
„I z łez jej obetrę oczy zapłakane.“

Siada Hania, siada i pisze wierszyki,
A fantazya składa śliczne rymów szyki;
Chowa je w kopertę i posела „Pracy“,
Niezadługo pewnie nagrodę obaczy.

* * *

Nagroda nadchodzi, Haniusia się cieszy
I wraz z talarkami do Frąckowej spieszy.
„O złoto panienko!“ tamta wykrzykuje
I jasną panienkę po rączkach całuje.

„No, Frąckowa, hyżo zbierajcie talarki,
„Idźcie szukać krówki na wszystkie jarmarki,
„A szukajcie pilnie, miejcie powodzenie,
„Bo przecie za pasem Boże Narodzenie.

„Boże Narodzenie już przecie nadchodzi,
„Boże Narodzenie świetnie się obchodzi.
„Popłakałyby się wam małe dziateczki
„Bez placka na mleku i bez poleweczki.“

Frąckowa nie zwleka i za chustkę chwyta
O drogę na jarmark, zaraz ludzi pyta —
Krowinę wybrała czarnobestrą w łaty
I z krowiną wraca wesoła do chaty.

* * *

Spieszcie się Frąckowa, waszą krówkę dójcie,
Placuszków, polewki dzieciom nagotujcie.
Słońce już zachodzi, na niebie gwiazdeczki,
Boże Narodzenie, cieszcie się, dziateczki!

We dworze wesoło, okna świecą jasno,
Czemu to Hanusi na serduszku ciasno?
Wyczekuje próżno na chłopca hultaja,
Co się nie pokazał ach! pewnie od maja!

Po świecie się błąka, z wichrami harcuje
Pewnie bałamuci, w oczka zagląduje,
W oczka zagląduje, do serduszka puka,
Jakże tu nie kochać — kochać to nie sztuka!

Z wesołego dworu, Hania się wymyka
Gdzie to w końcu sadu chatynka przytyka,
Chatynka Frąckowej, gdzie dzisiaj wesele
Krówka, poleweczka i placuszków wiele.

Radość wielka w chacie z panienki przybycia,
Wiodą do stajenki, do krówki ukrycia.
Ma siana dostatnio, u żłóbeczka stoi,
Chwali ją Frąckowa, że tak dobrze doi.

A Hanusia dzieci bierze za rączęta,
Każe podnieść w górę na niebo oczęta,
Pokazuje gwiazdkę, co tak jasno świeci,
Dziwują się bardzo tej jasności dzieci.

A Hania poucza jak przed wielu laty
Zstąpił nasz Zbawiciel hen z nieba do chaty,
Narodził się dzieckiem w bydlęcem korytku
Wśród krów i osiołków bez żadnego zbytku.

Był i Święty Józef i Najświętsza Panna
I śpiewali pięknie anieli: Hosanna,
A gwiazdeczka wiodła aż ze świata końca
Królów hen zdaleka aż od Wschodu słońca.

A Zbawiciel uczył jak tu kochać trzeba,
By z ziemi polecieć prościutko do nieba,
Wybaczać niedobrym, a znosić los srogi,
Miłować ze serca i swoich i wrogi.

Dzieciska słuchają, Hania się rozwodzi
I nie słyszy wcale, że panicz nadchodzi,
Zajechał do dwora, nie znalazł panienki,
Poleciał ją szukać do małej chateńki.

* * *

Przystanął i słucha, a serce mu mięknie,
Gdy widzi, że Hania naucza tak pięknie;
Za rączkę ją chwyta, w oczka zaglądując
I chwileczkę milcząc tak się zapytuje:

„O Hanusiu moja, skoro kochać trzeba,
„By z ziemi ulecieć prościutko do nieba,
„O Hanusiu moja, powiedz mi tak szczerze,
„Czy mnie kochasz także? Chętnie ci uwierzę.

„Tęskniłem za tobą, serce mi się ściska,
„Kochałem zdaleka, potrafię i zblizka!“
A panienka stoi, oczka ma spuszczone,
Na jagodach róże, serduszko strwożone.

A Frąckowa na to: „Panieneczka płocha,
„Więc powiedzieć nie chce, ale jušci kocha!
„Panieneczka nasza kocha wszystkich ludzi,
„Więc panicza także — jeno tak marudzi!“

* * *

Więc panicz nie pyta, opuszcza chateńkę,
I zaraz do dworu wiedzie swą panienkę
I skrada buziaczki — o, czekaj hultaju!
A dobrze im razem jako prawie w raju.

Już wchodzą do sali, ojcom się kłaniają,
O błogosławieństwo rodziców błagają,
A potem opłatek gdy w koło dzielili,
Na Święta, na przyszłe do siebie prosili.

B.

W szkole.

Człowiek ma dwoje rąk, a na co? — to powie Silberbach.

— Na to panie profesur, żeby z jedną brać, a z drugą schować.



Modny żebrak.

— Ciągle żebrzesz, a uczciwego zajęcia nie masz.

— Owszem zbieram rzadkie monety — daj mi Pan talara.



Mały żebrak, z płaczem:

Jestem sierotą od urodzenia, mój ojciec jest w więzieniu, moja matka w szpitalu, a jeżeli wrócę do domu bez grosza — wytłuką mię z pewnością.

NADESŁANE.

(Rubryka „Nadesłane“ nie pochodzi od redakcyi, która też za nią odpowiedzialności nie przyjmuje).

Ostrzeżenie!!

Publiczność poznańska kupuje wielokrotnie za drogie pieniądze, zamiast przez lekarzy poleconego „Ross'a piwa posilającego“ (Ross Kraftbier), najlepszego z istniejących wszelkich piw zdrowia (jest pod gwarancyą więcej jak 4 razy posilniejszem, aniżeli angielski Porter) piwo słodowe bardzo liche, tak zwany ekstrakt i t. p. Zwracamy więc uwagę, że Ross'a piwo posilające w flaszkach oryginalnych po 70 fen. za flaszkę, jest w Poznaniu do nabycia tylko u pana *B. Śniegockiego — Centralna drogerya — plac Wilhelmowski 10.*

Piwo to poleca się najgoręcej osobom, cierpiącym na brak krwi, na boleści płuc i żołądka, rekonwalescentom, słabowitym dzieciom i kobietom. 1004

Proszę czytać!

Głuchota. — Pewna bogata pani, która za pomocą sztucznych bębenków usznych dra Nicholson'a wyleczyła się z głuchoty, podarowała jego zakładowi 25,000 florenów, aby osoby głuche i mające tępy słuch, a nie posiadające środków na sprawienie sobie bębenków usznych, mogły je otrzymać bezpłatnie. Listy należy adresować: Nr. 5059. Zakład Nicholson „Longcott“ Gunnersbury, London, W. 1064

Nowe hygieniczne cygaro

Dr. Henryka Graber'a.

Już wielokrotnie czyniono próby, aby tamę położyć szkodliwemu działaniu nikotyny. Specyalne konstrukcye fajek i cygarniczek miały znieść lub przynajmniej złagodzić działanie nikotyny. Spreparowaną w tym celu bawełna miała wchłaniać w siebie nikotynę, atoli wszelkie próby były nadaremne. Bliższym celem jest już odnikotynizowanie tabaki, lecz ma to zło w skutku, że z nikotyną traci zarazem tabaka oleje eteryczne, jak wszystkie lekko rozpuszczalne materye, na których wspólnem działaniu polega właśnie smak i aromat tabaki, tak że z niej pozostaje tylko rodzaj czczej słomy bez smaku wszelkiego. Czem atoli jest dla kawy kofeina, dla herbaty teina, tem jest dla tabaki nikotyna. Przy radykalnem usunięciu nikotyny przestaje być tabaka środkiem użytecznym. Do tego rezultatu doszedł tajny radzca dworu, profesor dr. med. Gerold w Halli, gdy zamierzał znieść szkodliwą działalność nikotyny w produktach tabacznych w ten sposób, aby tabace nie odjąć jej charakterystycznej właściwości jako środka użytecznego.

Jako namiętny palacz, popadłszy w chorobę, zaczął przemyśliwać nad tem, aby usunąć złe skutki używania tabaki, któreby mogły paraliżować złe działanie nikotyny bez odnikotynizowania tytoniu. Po długich bezowocnych doświadczeniach eksperymentalnych udało się wreszcie temu uczonemu wynaleść środek skuteczny w „*Origanum vulgare*“, którego ekstrakt tak co do jakości, jak też ilości okazał się nadzwyczaj praktycznym. Po dokonanych próbach fabrykaty okazały się zupełnie nieszkodliwe dla zdrowia w użyciu, przyczem nie straciły nic na smaku ani na zapachu.

Tak więc udało się wreszcie genialnemu badaczowi po długich mozołach rozwiązać zadanie, które, jak pisze Dr. med. Degener z Bremeny, „tworzy nową erę w historyi tabaki.“ Ten wynalazek jest dla palaczy bardzo doniosłym, mianowicie świadczącym naszemu wiekowi nerwowości nieobliczalne dobrodziejstwa.

Wynalazek swój powierzył tajny radzca dworu, prof. Dr. Gerold, do wykonania znanej wszystkim niemieckim palaczom fabryce cygar, pana Ottona Wendta w Bremenie, która otrzymała na ten wynalazek patenta w wielu kulturalnych państwach. Patent dla Niemiec zarejestrowany jest pod Nr. 68648.

Te fabrykaty, wykonane wyłącznie z przednich zamorskich tabak, które jako „Wendt'a patentowane cygary“ wzbudziły wielkie zainteresowanie w świecie lekarskim, zajęły szybko rynek zbytu i mogą słusznie nosić nazwę cygar przyszłości.

W Ameryce przejęła fabrykacyą *Health Tobacco Co.*, która połączona jest z znaną *American Tobacco Co.* (największa fabryka w świecie). — Także w Londynie utworzyło się w tym celu Towarzystwo na W. Brytanią. Również z rozporządzenia cesarsko rosyjskiego nadwornego lekarza, dr. Zandera, ma się w Rosyi rozpocząć fabrykacya tych cygar. Dwór petersburski już od dłuższego czasu zaopatruje się wprost z Bremeny w patentowane cygary i cygarilosy Wendta.

Na porost włosów i brody jest najlepszym środkiem Orisin Kühna. Baczność przed naśladownictwem! Tylko Orisin Kühna ze składu perfum pod koroną w Norymbergii jest prawdziwym. Do nabycia we wszystkich pierwszorzędnych składach fryzyerskich.



S. Dzień dobry ci wiarusie.
L. Co to! takiś dziś punktualny.
S. Naturalnie, patrz, kupiłem sobie od **Białasa w Poznaniu** zegarek.
L. Ach! ach! jaki piękny, zapewne kosztowny? 778
S. Ty wiesz, że byle co nie kupuję.
L. Bardzo rozsądnie, wiem przecież, że Białas ma dobre i trwałe zegarki, regulatory, budziki, a jakie śliczne pierścionki, kolczyki, broszki, obrączki ślubne, okulary i t. d.
S. To też sobie kup od Białasa zegarek albo co tam potrzebujesz.
L. Napiszę jeszcze dziś po cennik.
S. Jadę wkrótce do Poznania, to ci kupię.
L. Proszę bardzo, po upatrzeniu sobie z cennika przyniosę pieniądze.